

MOJŻESZ

TOM 4

ZIEMIA OBIECANA



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

Tom 4

Ziemia Obiecana

(wydany)

*I przemówił Pan do Mojżesza twarzą w twarz,
jak się rozmawia z przyjacielem.*

Wj 33,11

*I nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza,
który by poznał Pana twarzą w twarz.*

Pwt 34,10

Copyright © Marek Mięka, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

ISBN 978-83-981520-7-5 (wydanie elektroniczne)

Ziemia Obiecana jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.



PROLOG — Kuszenie

*Rada strąconych i Ten, który przyszedł w ludzkim ciele, by dać
Mojżeszowi cały świat za jedną cenę*

Rada strąconych

Tam, gdzie nie sięga słońce, bo słońce jest zbyt młode, by tam sięgnąć, zebrali się ci, którzy pamiętają czas przed czasem. Nie mieli ciała — ciało jest darem, a im dar odjęto — więc byli obecni tak, jak obecny jest chłód w studni albo nienawiść w liście, którego jeszcze nie otwarto. A radowali się, bo mieli z czego.

— Chorma — powiedział jeden, i słowo to zabrzmiało jak kość pękająca pod stopą. — Weszli bez Arki, w gniewie, i Amalekita zepchnął ich ze wzgórz. Sami. Nikt ich nie pchał. Wystarczyło szepnąć „udowodnijcie, że jesteście czegoś warci”, a poszli na rzeź, żeby to udowodnić.

— To nic — odrzekł drugi, i był to Mastema, książę wrogości, ten, którego postawiono niegdyś nad Egiptem i który urząd zachował mimo niewierności. — Chorma to jeden dzień. Ja im dałem cielca. Czterdzieści dni nie było proroka na górze, a oni ulali sobie boga z kolczyków własnych żon i tańczyli przed nim. Bóg dał im dziesięć słów, wrytych własnym palcem — a oni w czterdzieści dni wymienili je na ryk złotego bydlęcia. — Coś, co u niego zastępowało śmiech, przeszło przez ciemność. — Nie trzeba ich kusić do wielkich grzechów. Wystarczy poczekać. Sami się zdradzają.

Ale jeden z nich milczał, i jego milczenie było cięższe niż ich mowa. Bo był to Samael — nie największy ze strąconych z tego powodu, że najwięcej upadł, lecz z tego, że najwyżej stał, zanim upadł. Ten, który jako pierwszy odmówił pokłonu, gdy Bóg rozkazał wojskom niebios uklęknąć przed garścią gliny, którą nazwał człowiekiem. „Ja, ogień, mam się kłaniać błotowi?” — powiedział wtedy, i to jedno zdanie strąciło go z wyżyn, na których nie stanie już nigdy nikt. Odtąd nienawidził człowieka nie jak wróg wroga, lecz jak starszy brat wydziedziczony na rzecz młodszego, głupszego, słabszego — nienawiścią, w której było coś z rozdartej miłości, i przez to gorszą od każdej innej.

— Cieszyście się z cielca i z Chormy jak sługi, którym pan rzucił kość — powiedział wreszcie, i wszyscy ucichli. — Grzechy ludu są niczym. Lud jest jak woda — chłapie, gdzie go potrącisz, i wraca do swego. Za każdym cielcem Bóg posyła im proroka, i prorok ich zawraca. Dopóki mają pasterza, stado się nie rozejdzie. — Zwrócił się

ku miejscu, gdzie daleko w dole tlił się słup ognia nad obozem na pustyni. — Nie kruszcie owiec. Weźcie pasterza. Zabierzcie im Mojżesza — nie mieczem, bo miecz zrobi z niego pieśń — lecz tak, żeby sam odszedł. Żeby sam ich zostawił. Wtedy nie będzie proroka, który by ich zawrócił od następnego cielca, i rozsypią się na pustyni jak proch, którym są.

— A kto go weźmie? — zapytał Mastema. — Widziałeś jego twarz, gdy schodzi z góry? Świeci. Boję się na nią patrzeć.

— Ja — powiedział Samael. — Pójdę sam. I nie pójdę w grozie, bo grozy człowiek się spodziewa. Pójdę w ciebie. W uśmiechu. Z darem w dłoniach. — Zaczął przyodziewać się w kształt, którego nie miał od początku świata — w skórę, w twarz, w oczy. Tylko oczu nie umiał zrobić do końca łagodnych; w źrenicach został mu ten stary ogień, ta nienawiść do gliny, której nie da się ukryć, choćby się włożyło najpiękniejszą twarz. — Reszta jest łatwa. Każdemu człowiekowi można dać dokładnie to, czego pragnął, gdy był młody. Sztuka polega na tym, żeby przyjść, gdy jest już stary.

A wysoko, tam gdzie zaczyna się światło, Michał, książę Izraela, widział, jak Samael obleka się w ciało. Stanął na straży, choć wiedział, że tej bitwy nie stoczy za Mojżesza. Tę Mojżesz miał stoczyć sam.

Ten, który przyszedł w ciebie

Mojżesz siedział sam, poza obozem, w tę godzinę nocy, w której nawet warty milczą. Za sobą miał Chormę i pogrzebane pokolenie; złotego

cielca, którego wciąż nie umiał zapomnieć; czterdzieści lat prowadzenia ludu, który go kochał w dniu cudu i przeklinał nazajutrz, gdy zabrakło wody. Był zmęczony tak, jak bywa zmęczony tylko ten, kto nie ma komu tego powiedzieć.

Wtedy z ciemności wyszedł człowiek.

Nie było w tym nic dziwnego — obozy odwiedzali wędrowcy, kupcy, zbiegowie. Ten był starszy, dostojny, ubrany jak ktoś, kto zna smak władzy. Usiadł naprzeciw, nieproszony, przy dogasającym ognisku, i przez chwilę milczeli razem, jak milczą dwaj starzy ludzie, którzy nie muszą się śpieszyć.

— Jesteś zmęczony, Mojżesz — powiedział wreszcie gość. Nie było to pytanie.

— Kto nie jest, w moim wieku.

— Nie mówię o wieku. — Gość pochylił się, a ogień odbił mu się w oczach — i Mojżesz, który widział krzew gorejący i słup ognia i chwałę na górze, drgnął, bo w tych oczach ogień był inny. Nie grzał. — Mówię o tym zmęczeniu, którego nie leczy sen. O zmęczeniu człowieka, który dźwiga naród na plecach, a naród na każdym postoju szuka kamienia, żeby go tym kamieniem ukamienować.

Mojżesz nie odpowiedział. Ale nie odszedł. A gość uśmiechnął się, bo brak sprzeciwu zna lepiej niż ktokolwiek — to jego pierwsze żniwo.

Oferta

— Przyszedłem ci coś ofiarować — powiedział gość. — Wysłuchaj do końca, potem odmówisz, jeśli zechcesz. Tyle mi się należy za drogę.

— Nie mam czym płacić za dary.

— To nie ty płacisz. — Gość rozłożył ręce, a wraz z tym gestem noc wokół nich jakby się rozstała i pokazała rzeczy, których na pustyni nie ma. — Popatrz. Dam ci młodość — nie wspomnienie młodości, lecz ją samą, ciało dwudziestolatka, w którym znów będziesz biegł, a nie włókl się o lasce. Dam ci bogactwo, przy którym skarbcze faraonów są garścią miedziaków. I dam ci władzę — nie nad tym stadem kóz na piasku, lecz nad całym światem, od morza do morza, tak że królowie będą ścielić ci drogę własnymi płaszczami. Wszystko, co widzisz i czego nie widzisz. Za jedną cenę.

— Za jaką?

— Odejdź od swojego Boga. I zostaw ten lud sam.

Cisza. Trzasnął węgiel w ognisku.

— To wszystko? — zapytał Mojżesz cicho.

— To wszystko. Nie proszę, żebyś ich skrzywdził. Nie proszę nawet, żebyś w cokolwiek przestał wierzyć — wierz sobie na boku, ile chcesz. Proszę tylko, żebyś przestał ich nieść. Odejdź. Zejdź im z drogi. Niech idą sami, jak dorośli, którymi nigdy nie zechcą być, dopóki ty za nich myślisz. — Pochylił się bliżej. — I powiem ci prawdę, Mojżeszu, bo jesteś jedynym człowiekiem, który zasłużył, żeby usłyszeć prawdę zamiast pociechy: robisz im krzywdę, niosąc ich.

Naród, który ma Mojżesza, nigdy nie dorośnie. A ten naród — pozwól, że będę szczery — nie jest wart twoich pleców.

Prawda użyta krzywo

I zaczął mówić, a mówił mądrze — mądrzej, niż mówi ktokolwiek, kto kłamie, bo Samael nie kłamał. To była jego broń najostrzejsza: prawda, nachylona pod takim kątem, żeby raniła.

— Policzmy ich, Mojżeszu, skoro tak lubisz liczyć. Wyprowadziłeś ich z Egiptu na ramionach dziesięciu plag, a oni nad brzegiem morza krzyczeli: „czy brakło grobów w Egipcie, żeś nas wywiódł na śmierć?”. Rozstąpiło się morze — a trzy dni później, przy pierwszej gorzkiej wodzie, szemrali. Spadła manna z nieba — znudziła im się w miesiąc, zapragnęli cebuli. Dałeś im górę płonącą, głos Boga, dziesięć słów — a nie zdążyłeś zejść, gdy już tańczyli przed bykiem. Posłałeś ich do ziemi, którą im obiecano — i cofnęli się ze strachu przed wysokimi ludźmi. Za każdym razem to samo: cud, wdzięczność na jeden dzień, i szemranie na wszystkie pozostałe. — Rozłożył ręce. — Ty nazywasz to ludem wybranym. Ja to nazywam wodą, która nie chce przyjąć kształtu naczynia, choćby naczyniem był sam Bóg.

Mojżesz milczał, bo każde z tych zdań było prawdziwe, i to milczenie bolało go bardziej niż kłamstwo.

— A teraz o twoim Bogu — ciągnął Samael, i głos mu złagodniał, jakby z troski. — Powiedz mi, komu ty właściwie służysz. Wyprowadził ich, żeby zaprowadzić do ziemi — a wodzi ich

czterdzieści lat po pustyni, aż całe pokolenie wygnie. Karze plagą za plagą, liczy trupy tysiącami. Twój brat i siostra dźwigali z tobą ten naród — a jego czeka śmierć na obcej górze, a jej pod kocem w Kadesz. — Pochylił się, i teraz w jego głosie zabrzmiała nuta, która miała być litością, a była tylko ostrzem owiniętym w aksamit. — A wiesz, co czeka ciebie? Ja wiem. Widzę dalej niż ty. Doprowadzisz ich pod samą rzekę — i on nie pozwoli ci jej przekroczyć. Za jeden gniew, za jedno uderzenie w skałę, którego jeszcze nawet nie popełniłeś, odbierze ci wszystko, na co pracowałeś całe życie. Dasz mu całe życie, a on ci nie da nawet garści ziemi po drugiej stronie wody. — Wyprostował się. — I ty to nazywasz sprawiedliwością. Ja nazywam okrucieństwem pana, który wyciska ze sługi ostatnią kroplę, a potem odprawia go z pustymi rękami przed samą bramą. Odejdź od niego, Mojżeszu. Zasłużyłeś na więcej niż on ci da.

Co pokazał mu w wodzie

A potem Samael zrobił rzecz najokrutniejszą ze wszystkich: pokazał mu, co utracił.

W czerni dogasającego ogniska, jak w czarnej wodzie, Mojżesz zobaczył siebie młodego. Zobaczył księcia Egiptu w lninie i złocie, przed którym zginały się karki. Zobaczył wyprawę na Kusz — siebie na czele armii, zwycięstwo pod Sabą, mury, które padły, i Tarbis, dumną córkę Południa, którą przywiózł jako żonę i chwałę. Zobaczył lud Egiptu wiwatujący na jego cześć, gdy wracał zwycięski — dwa miliony gardeł

krzyczących jego imię nie z rozpacz, jak teraz, lecz z uwielbienia. Zobaczył twarze kobiet, które kochał i które przeminęły: Iset, pogodną, przy studni; Neferet, która oddała życie, zasłaniając go przed strzałą; Tarbis; Seforę, dziś siwiejącą, niegdyś dziewczynę u studni w Midianie. Wszystkie miłości, cała chwała, cała moc — obraz za obrazem, żywe, ciepłe, dotykalne.

— To wszystko było twoje — szepnął Samael. — I to wszystko możesz mieć znowu, na nowo, świeże. Młodość. Uwielbienie. Miłość, która nie zdąży przeminąć, bo dam ci wieki, nie lata. Popatrz, jak byłeś wielki, zanim ten Bóg zrobił z ciebie starca pasącego niewdzięczników na pustyni. Popatrz i wybierz.

I był to moment — jeden, prawdziwy — w którym Mojżesz zapragnął. Bo był tylko człowiekiem, a człowiek, któremu pokaże się jego młodość, jego chwałę i jego zmarłe miłości jednocześnie, drgnie, choćby był najświętszy. Sięgnął w myślach ku temu obrazowi jak ku wodzie na pustyni.

Skala

A wtedy, dotykając w pamięci tamtej chwały, Mojżesz przypadkiem dotknął czegoś, co leżało obok niej — i to go ocaliło.

Bo obok zwycięstwa nad Kuszem leżała jego cena: Tarbis, która umarła. Obok uwielbienia tłumów leżał dzień, w którym te same tłumy patrzyły, jak ucieka z Egiptu jako zabójca. Obok Iset i Neferet leżały ich groby. Chwała Egiptu — gdzie jest dziś Egipt jego

młodości? Faraon, przed którym drżał świat, leży zabalsamowany w ciemności, a jego imię zdrapują ze ścian następcy. Wszystko, co Samael mu pokazywał jako trwałe, Mojżesz widział już raz — i widział, jak przemija. Był starcem. Starzec ma tę jedną przewagę nad kusicielem: widział już, jak kończą się rzeczy, które młodym wydają się wieczne.

I wtedy przyszło do niego wspomnienie inne niż wszystkie — nie z ziemi. Przypomniał sobie górę. Synaj, obłok, głos. I przypominał sobie to, czego nie opowiedział nigdy nikomu: jak raz został wzięty w górę, ponad siódme niebo, i pokazano mu rzeczy, dla których ludzki język nie ma słów — i jak wróciwszy stamtąd, patrzył potem na złoto i na trony, i na wojska, i wszystko to wydało mu się małe. Nie złe — małe. Jak zabawki dziecka oglądane oczami starca.

Podniósł głowę i spojrzał gościowi prosto w oczy — w te oczy, których tamten nie umiał zrobić łagodnymi.

— Pokazałeś mi młodość, bogactwo i władzę nad światem — powiedział wolno. — I masz rację co do jednego: pragnąłem tego. Przez chwilę pragnąłem. Ale zapomniałeś, komu to pokazujesz. Ja to wszystko już miałem. Byłem księciem najpotężniejszego państwa na ziemi. Kochały mnie kobiety piękniejsze, niż zdołasz wyśnić. Dowodziłem armiami, przed którymi padały mury. I wiesz, co z tego zostało? Groby. Piasek. Imiona zdrapane ze ścian. — Wstał, a stając, oparł się o laskę, i po raz pierwszy tej nocy laska nie wyglądała jak podpora starca, lecz jak coś innego. — Wszystko, co mi oferujesz, jest mirażem, jaki widzi wędrowiec na pustyni: jezioro tam, gdzie jest piach. Człowiek, który buduje życie na młodości, budzi się stary. Kto

buduje na bogactwie, budzi się okradziony. Kto buduje na uwielbieniu tłumu — słyszy, jak ten sam tłum woła nazajutrz „ukamienujemy go”. Wszystko to jest wodą, która ucieka między palcami.

— A twój Bóg? — syknął gość, i w tym syku pękła pierwsza warstwa ludzkiej skóry.

— Mój Bóg jest Skałą — powiedział Mojżesz. — Jedyłą rzeczą na pustyni, która nie ucieka między palcami. Można się o Niego oprzeć i On nie ustąpi. Można Go uderzyć — i wtedy biada uderzającemu, nie skale. Wszystko inne przemija; On trwa. Wybrałeś mi młodość przeciw wieczności, proch przeciw opoce. Kiepski z ciebie kupiec, choć udajesz najlepszego.

Ten, który nie umie się kłaniać

I wtedy Samael przestał udawać.

Skóra, którą przywdział, obwisła jak zdarta z węgorza, twarz się rozpadła, i została pod nią ta nienawiść, której od początku nie umiał ukryć w oczach — teraz cała, odsłonięta, tak ogromna, że Mojżesz zrozumiał wreszcie, na kogo patrzy.

— Wiem, kim jesteś — powiedział, i nie cofnął się. — Jesteś tym, który pierwszy nie chciał się pokłonić. Nienawidzisz nas nie dlatego, że jesteśmy źli — nienawidzisz nas, bo jesteśmy z gliny, a On wybrał glinę, nie ogień. Cała twoja mądrość, cała twoja starość, całe siódme niebo, z którego spadłeś — nie warte jednego dnia najgłupszego z tych

szemrających ludzi, których gardzisz. Bo oni, upadając, wstają i idą dalej. A ty upadłeś raz i przez wieczność nie zdołałeś wstać, bo za dumny jesteś, żeby zgiąć kolano nawet po to, żeby się podnieść.

Coś w Samaelu ryknęło bez głosu. Sięgnął — po broń, po grozę, po coś — ale Mojżesz uniósł laskę, tę zwykłą pasterską laskę, na której dawno temu wyryto Imię, którego się nie wymawia, i strącony cofnął się przed nią, jak cofa się ciemność przed wniesioną lampą. Nie dlatego, że laska była mocna. Dlatego, że nie była jego.

— Odejdź — powiedział Mojżesz.

— Odejdę — wychrypiał Samael, wracając w ciemność, z której przyszedł. — Ale wrócę, Mojżeszu. Raz jeszcze. Nie po to, żeby ci coś dać — po to, żeby coś wziąć. Przyjdę na końcu, na górze, po twoją duszę, i wtedy nie będziesz miał już ludu do noszenia ani sił do laski. Zapamiętaj: dziś wygrałeś. Ostatnie słowo mam ja.

— Ostatnie słowo — powiedział Mojżesz cicho, już do pustej ciemności — ma Skala.

Zejście

Wysoko Michał, który wszystko widział, nie zapłakał tej nocy — bo tej nocy nie było nad czym. A na dole Mojżesz siedział jeszcze długo przy dogasłym ognisku, drżąc — nie ze strachu, lecz jak drży człowiek, który dopiero co stał nad przepaścią i cofnął się o krok.

O świetle wstał. Był tak samo stary jak wczoraj; nie dostał ani jednego dnia młodości. Kolana bolały. Do rzeki, której miał nie

przekroczyć, było wciąż daleko. Naród, który miał nieść, wciąż spał w namiotach i wciąż był tym samym narodem, który jutro znów zaszechrze o wodę. Nic się nie zmieniło — prócz tego, że Mojżesz raz jeszcze, świadomie, oczami otwartymi na całą cenę, wybrał Skałę zamiast mirażu. A to jest jedyna rzecz, która kiedykolwiek się zmienia i jedyna, która cokolwiek znaczy.

Poszedł do obozu. Trzeba było kuć wojsko z synów niewolników, chować zmarłych i szukać wody. Trzeba było nieść ich dalej.

A daleko na wschodzie, nad inną wodą, nad Wielką Rzeką, spał jeszcze inny człowiek, któremu wkrótce ktoś też zaproponuje srebro za to, by odwrócił się od tego ludu. Bo świat dzieli się na tych, którzy patrzą na proch i widzą proch, i na tych, którzy patrzą na proch i sprzedają za niego opokę.



ROZDZIAŁ I — Synowie niewolników

Kadesz — Jozue kuje wojsko z pokolenia pustyni; tysiące i setki, oręż z morza, i gorycz Rubena

Po Chormie

Wrócili spod Chormy tak, jak wraca się z pogrzebu własnej pychy: bez pieśni, bez łupu, z pustymi rękami, które jeszcze pamiętały ciężar broni podniesionej wbrew słowu Boga. Amalekita i Kananejczyk zepchnęli ich ze wzgórz Negebu aż po Chormę i dalej, i pustynia przyjęła rozbitków tak samo obojętnie, jak przyjmuje deszcz, który wsiąka i znika.

Mojżesz nie wyszedł im naprzeciw. Stał w wejściu do Namiotu i patrzył, jak wchodzi do obozu grupami, jak niosą rannych i jak nie niosą zabitych, bo zabitych zostawili na wzgórzach. Policzył ich oczami, tak jak liczył zawsze — nie z okrucieństwa, lecz z nawyku pasterza, który wie, ile powinno wrócić.

Wieczorem przyszedł do niego Jozue. Miał na sobie jeszcze kurz drogi i tę twarz, którą Mojżesz znał od Refidim — twarz człowieka, który przegraną rozkłada na części, żeby zobaczyć, gdzie pękło.

— Czterdzieści lat — powiedział Mojżesz, zanim tamten zdążył cokolwiek rzec. — Rok za każdy dzień, przez który dwunastu chodziło po tamtej ziemi. Wszyscy od dwudziestego roku wzwyż. Padną tutaj, na piasku, jeden po drugim, aż ostatni z nich położy się i nie wstanie.

Jozue milczał długo.

— Więc czekamy — powiedział wreszcie. — Czterdzieści lat czekamy, aż wymrą, i nic nie robimy.

— Nie czekamy. — Mojżesz odwrócił się do niego i w świetle lampy jego oczy były bardzo stare i bardzo przytomne. — Synowie. Ci, którzy dzisiaj są za młodzi, żeby paść pod wyrokiem. Chłopcy, którzy pasali kozy pod słupem obłoku i nie znają smaku cegły. To oni wejdą do tej ziemi. Ale nie wejdą tacy, jacy są. Naród niewolników nie zdobywa krajów. Ktoś musi z nich zrobić wojsko.

— Ich ojcowie uciekli spod Chormy — powiedział Jozue cicho. — Rzucili broń i biegli. Widziałem.

— Ojcowie tak. — Mojżesz skinął głową. — Dlatego mówię o synach. Weź ich, Jozue. Weź ich, dopóki są jeszcze mokrą gliną. Za czterdzieści lat ma tu stać wojsko, które nie ucieknie.

Jozue nie powiedział „spróbuję”. Nie był człowiekiem, który tak mówi.

— Daj mi chłopców — powiedział. — I daj mi Kaleba.

Tysiące i setki

Zaczęli od liczenia, bo od liczenia zaczyna się wszystko, co ma się później stać wojskiem. Nie od tego liczenia, którym Mojżesz zliczał srebro na Przybytek — od drugiego, twardszego: od dwudziestego roku wzwyż, każdy, kto zdolny wyjść na wojnę, ród po rodzie, dom ojca po domu ojca.

Szkielet dał im teść Mojżesza jeszcze w Refidim, kiedy Jetro patrzył, jak Mojżesz sam sędzi lud od świtu do nocy, i powiedział mu: nie udźwigniesz tego jeden. Wtedy podzielili lud na tysiące, setki, pięćdziesiątki i dziesiątki i postawili nad nimi ludzi. Teraz Jozue wziął tę samą siatkę i przełożył ją z sądu na miecz. Dziesiętnik znał w twarz każdego ze swojej dziesiątki i wiedział, który z nich prześpi wartę. Setnik trzymał dziesięciu dziesiętników. Nad tysiącami stali naczelnicy plemion — dwunastu mężów, po jednym z każdego pokolenia, i to oni odpowiadali głową za swoje zastępy.

Ale samej siatki nie da się odziedziczyć po teściu jak płaszcza; trzeba ją wypełnić ludźmi, a ludzi trzeba wybrać. Nad tym siedzieli nocami, przy rozłożonym na wygarbowanej skórze spisie rodów — Mojżesz, Jozue i Kaleb — i był to spór trudniejszy niż każda musztra.

— Jetro dał mi regułę — powiedział Mojżesz, wodząc palcem po imionach domów. — „Wypatrz z całego ludu mężów dzielnych, bogobojnych, godnych zaufania, nienawidzących niesprawiedliwego zysku, i postaw ich jako przełożonych: nad tysiącami, nad setkami, nad pięćdziesiątkami i nad dziesiątkami.” Tak dzieliłem lud do sądu.

Ale sąd to nie wojna. Na sąd stawia się człowieka sprawiedliwego. Na wojnę trzeba czegoś jeszcze.

— Posłuszeństwa — powiedział Jozue. — I nie takiego, jakie znają. Oni umieją słuchać tylko jednego głosu: bata. Czterdzieści lat słuchali nadzorcy, który stał za plecami z rzemieniem. Niewolnik robi, co mu każą, bo się boi tego, kto stoi za nim. Żołnierz ma robić, co mu każą, bo ufa temu, kto stoi obok. To jest cała różnica między tłumem a wojskiem, i to jest najtrudniejsza rzecz do wykucia — trudniejsza niż brąz. Bat można zabrać. Strach, który bat zostawił, zostaje.

— Więc czego szukamy w dziesiętniku? — zapytał Kaleb, bo Kaleb lubił sprowadzać rzecz wielką do rzeczy prostej.

— Dziesiętnik — powiedział Jozue — to nie najsilniejszy z dziesięciu i nie najmądrzejszy. To ten, za którym pozostałych dziewięciu pójdzie w ciemności, nie pytając dokąd. Czasem jest najstarszy. Czasem najgłośniejszy. A czasem to cichy, którego słuchają, sami nie wiedząc czemu. Takiego trzeba wypatrzeć, bo takiego się nie mianuje — takiego się rozpoznaje. Dziesiątkę dobiera się z jednego domu ojca, żeby zabijali obok braci i stryjów, bo przy bracie człowiek ucieka trudniej. Setnik ma znać w twarz swoich dziesięciu dziesiętników i wiedzieć, który skłamię o wartach. A nad setnikami, nad tysiącami — tam już nie wystarczy odwaga. Tam trzeba człowieka, który ustoi, gdy tysiąc oczu patrzy, czy pierwszy się cofnie.

Szli więc ród po rodzie. Nad Judą postavili Kaleba — bo Nachszon, który pierwszy wszedł w morze, padł pod Amalekiem, a w Kalebie, jak mówił Mojżesz, „był inny duch”. Pod nim na setki

wybrali ludzi, których Kaleb znał z klepiska: Otniela, choć młody, bo za Otnielem szli rówieśnicy; i dwóch starszych, twardych, z tych, co mało mówią. Nad Efraimem — plemieniem samego Jozuego — postawił on nie krewnego, lecz najsurowszego z setników, żeby nikt nie rzekł, że Efraimita trzyma miecz dla Efraima. — Wódz, który stawia nad swoimi własną krew, kupuje sobie bunt za jedno pokolenie — powiedział. — Niech lepiej moi mają nade mną człowieka, którego się boją, niż człowieka, którego kochają za nazwisko.

Nad Rubenem stał Elicur, syn Szedeura, i przy jego imieniu wszyscy trzej umilkli. Bo Elicura nie dało się ominąć — był naczelnikiem Rubena z prawa krwi, pierworodnego plemienia — a zarazem żaden z nich mu nie ufał.

— Zostawić go — powiedział w końcu Mojżesz — i patrzeć. Zdjąć pierworodnemu jego naczelnika to dać Datanowi dokładnie to zdanie, którego szuka: „widzicie, Lewita odbiera Rubenowi nawet to jedno.” Lepszy wódz, którego pilnujemy, niż uraza, której nie widać. — Spojrzał na Jozuego. — Ale pod Elicurem postaw na setki ludzi, którzy słuchają szyku, nie plemienia. Żeby, gdyby kiedyś naczelnik Rubena wskazał mieczem w złą stronę, zostało dość rąk, które nie pójda.

I tak, imię po imieniu, powstawał na wygarbowanej skórze szkielet czegoś, czego Izrael nie miał od Egiptu: nie tłumu, który biegnie i pierzcha, lecz ciała o dwunastu członkach i jednej głowie. Nad wszystkim mieli stanąć szoterim — pisarze i dozorczy szyku, którzy w dniu bitwy liczą obecnych, spisują poległych i pilnują, by rozkaz z

góry doszedł nieprzekreślony aż do ostatniej dziesiątki. — Bo wojsko ginie nie wtedy, gdy wróg jest silny — mówił Jozue — lecz wtedy, gdy rozkaz dany na prawym skrzydle dociera na lewe jako jego przeciwieństwo.

Nad Rubenem stał Elicur, syn Szeaura.

Obóz ułożyli w czworobok wokół Przybytku, jak każe porządek marszu: na wschodzie, na czele, sztandar Judy; na południu Ruben; na zachodzie Efraim; na północy Dan. Każde plemię pod własnym znakiem, przy chorągwi domów ojców, tak żeby w ciemności i w zamęciu człowiek wiedział, gdzie jest jego krew.

— Dwanaście plemion — powiedział Kaleb pierwszego wieczoru, patrząc na rozpalone ogniska po czworoboku. — Dwanaście plemion i jeden Bóg. Módlmy się, żeby to było dwanaście mieczy, a nie dwanaście noży wymierzonych w siebie nawzajem.

Jozue nie odpowiedział. Patrzył na południe, gdzie płonęły ognie Rubena, i już wtedy coś liczył.

Oręż, który zwróciło morze

Broń mieli z morza. Kiedy wody wróciły na rydwany faraona, zabrały ludzi, a wyrzuciły żelazo i brąz — i przez wiele dni po przejściu fala kładła na wschodnim brzegu khopesze o zgiętym ostrzu, groty włócznie, łuski pancerzy, okute tarcze, łuki, których ciężki trzeba było dopiero wysuszyć i naciągnąć na nowo. Egipt uzbroił ich własną śmiercią. Mojżesz kazał to zebrać wtedy do ostatniego ostrza i teraz

otwarto skrzynie, w których brąz leżał owinięty w tłuszcz, żeby nie zżarła go sól.

Ale nie wszystko przyszło z morza. Najstarsze ostrza w obozie pamiętały jeszcze sam Egipt: khopesze, które mężowie wynieśli z domu niewoli tej nocy, gdy wychodzili — bo lud nie opuścił Egiptu z gołymi rękami, lecz, jak mówi stare słowo, „uszykowany do boju”, choć boju jeszcze nie znał. Te ostrza egipskiej roboty, zakrzywione jak sierp, ostrzone po stronie wypukłej, żeby zahaczać krawędź tarczy i rąbać z góry w kark, były najlepsze, jakie mieli, i nosili je najstarsi, którzy pamiętali, skąd się wzięły.

A część oręża Izrael zdobył już sam, przed Chormą — pod Refidim, gdy Amalek napadł ich na pustyni, a Jozue po raz pierwszy wyprowadził ludzi do bitwy, dopóki Mojżesz trzymał wzniesione ręce na wzgórzu. Z tamtego pola wrócili nie tylko żywi: wrócili z łupem — amalekickimi włócznieami o wąskich, długich grotach, z prostymi łukami pustynnych koczowników, z nożami, które napastnik nosił przy biodrze. Niewiele tego było, bo Amalek sam był biedny. Lecz Kaleb kazał strzec tej garści broni jak świętości, osobno od reszty.

— Oręż z morza dał nam Bóg — mówił. — Daliśmy się tylko po niego schylić na brzegu. Ale te włócznie wzięliśmy sami, z rąk, które jeszcze żyły, kiedyśmy po nie sięgali. Broń zebrana z topielca waży tyle, co drewno i brąz. Broń wydartą wrogowi waży więcej, bo pamięta, ile cię kosztowała. Dajcie ją tym, którzy pójdą pierwsi — niech wiedzą, że niosą coś, czego nie podarowało im morze, tylko czyjaś śmierć, której sami musieli dokonać.

Nie starczyło dla wszystkich. Nigdy nie starcza. Kowale — ci sami, którzy w Egipcie kuli okucia do cudzych bram — przetapiali, ostrzyli, dopasowywali rękojeści do dłoni, które nigdy rękojeści nie trzymały. Kto dostał khopesz, nosił go jak znak wybrania. Reszcie zostały proce i włócznie o ostrzach hartowanych w ogniu z drewna, i to Kaleb uznał za dobre.

Musztra

Jozue uczył ich stać. To brzmi jak nic, ale to było najtrudniejsze. Uczył ich stać ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, tak żeby między dwoma tarczami nie przeszło ostrze, i stać wtedy, kiedy z naprzeciwna biegnie krzyk i kurz i śmierć. Bo człowiek wolny, który po raz pierwszy widzi, jak wróg rusza, ma w ciele jeden odruch starszy od wszystkich rozkazów: uciekać. Ten odruch Jozue wypalał z nich dzień po dniu, jak wypala się chwast, który odrasta.

Zaczynali przed świtem, kiedy piasek był jeszcze zimny. Jozue ustawiał ich w szereg i kazał trzymać tarczę w górze, na wysokości oczu, i nie opuszczać. Zwykła tarcza z wikliny obciągniętej skórą waży niewiele, kiedy weźmiesz ją do ręki. Po stu oddechach waży jak wół. Po dwustu ramię drży, a Kaleb chodzi wzdłuż szeregu i patrzy, któremu opadnie pierwszemu.

— Opuść tarczę w bitwie — mówił, nie podnosząc głosu — a strzała, która miała utknąć w wiklinie, utkwii ci w oku. Twoja matka będzie cię szukać wśród zabitych po dziurze w twarzy. Trzymaj wyżej.

Potem uczył ich ściany. Dziesięciu obok siebie, tarcza zachodzi na tarczę o szerokość dłoni, włócznie w szczelinach jak zęby. I na tę ścianę Jozue puszczał własnych ludzi z tępyimi dragami — dziesięciu na dziesięciu, biegiem, z wrzaskiem. Kto się cofnął, ten rozrywał ścianę, a przez rozdartą ścianę wchodzi śmierć. Więc kto się cofnął, dostawał dragiem po plecach od Kaleba, który szedł za szeregiem jak zły pasterz, i którego drag bolał bardziej niż ten z naprzeciwka, bo Kaleb bił, żeby zapamiętali.

Otniel, młody z Judy, krewny Kaleba, dostał tego pierwszego dnia trzy razy, bo trzy razy uskoczył. Ciało było mądrzejsze od niego i ciało chciało żyć. Czwartego razu nie uskoczył — zacisnął zęby, wparł stopę w piasek i przyjął rozpęd na tarczę tak, że zabołało w barku aż do kości, a przed oczami stanęły mu białe iskry.

— O — powiedział Kaleb, przechodząc. — Jeden przestał być kozą.

Uczył ich procy, bo procy było więcej niż mieczy, a kamieni więcej niż wszystkiego. Rozstawiał dzbany na sto kroków i kazał rzucać, aż rzemień wycinał bruzdy w palcach i aż ramię nie chciało się już podnieść. Najlepsi trafiali trzy razy na pięć. Kaleb chciał czterech i nie puszczał na wodę tych, którzy nie umieli czterech.

— Śmiejecie się, bo pasaliście nią kozy. Nie śmiejecie się. Kamień z procy nie wie, że wyszedł z ręki syna niewolnika — powtarzał. — Leci tak samo jak z ręki króla. I zabija tak samo. Cała różnica jest w tym, ile razy ćwiczyłeś, kiedy inni spali.

Łuków uczył sam Jozue, i tych było najmniej, bo łuk z morza — egipski, klejony z rogu i drewna — łamał w rękach niecierpliwych, a niecierpliwych było wielu. Naciągnięcie takiego łuku to nie jest siła ramienia, to jest cała plecy, cały grzbiet, całe biodra wparte w ziemię. Kto strzelał samą ręką, tracił po dziesięciu strzałach czucie w palcach i odkładał łuk zawstydzony. Otniel wytrzymał, bo był uparty, i po wielu księżycach kładł strzałę w tarczę z pięćdziesięciu kroków częściej, niż obok.

Khopesza — tego sierpowego miecza, którego morze wyrzuciło najwięcej — uczył Kaleb, bo sam walczył nim pod Amalekiem i nosił po tamtej bitwie bliznę, która mu o tym co rano przypominała. Khopesz nie jest ostrzem do pchnięcia; kto chce nim pchać jak prostym mieczem, ginie.

— Patrzcie na ostrze — mówił, obracając brąz tak, by błysnął. — Tnie po stronie wypukłej, nie po wklęsłej. Nie szukaj nim serca — serca broni tarcza. Szukaj krawędzi tarczy. — I pokazywał, wolno, żeby zapamiętali ruch, nie słowa: zakrzywionym ostrzem zahaczał o górny brzeg cinny, wielkiej tarczy zasłaniającej człowieka od brody po kolana, i jednym szarpnięciem ściągał ją w dół — a gdy znad opuszczonej krawędzi wychylał się kark, w kark szedł drugi cios, z góry, całym ciężarem barku i biodra. — Khopesz nie przebija. Khopesz otwiera. Najpierw odbierz mu tarczę, potem głowę. Dwa ruchy. Kto robi je osobno, ginie między jednym a drugim; kto robi je jednym, wraca do domu.

Kto dostawał khopesz, uczył się też tarcz — bo tarcza to w szyku rzecz ważniejsza od miecza. Cinna, duża i ciężka jak drzwi, z wikliny i wołowej skóry naciągniętej na drewnianą ramę, dla tych z pierwszego szeregu, którzy trzymają ścianę i za którymi chowa się reszta. Magen, mała i okrągła, przypinana do przedramienia, dla procarzy i łuczników z tyłu, którym wielka tarcza płałaby ręce. — Pierwszy szereg niesie dom — mówił Kaleb — drugi niesie śmierć zza domu. Jeśli pierwszy upuści ścianę, drugi ginie, zanim zdąży napiąć cięciwę. Dlatego najtchórzliwszego stawia się w drugim szeregu, a najtwardszego w pierwszym — odwrotnie, niż podpowiada strach.

Komend uczył krótkich, bo w zgiełku długie zdanie ginie. „Zewrzyj” — i tarcze schodziły się brzeg na brzeg. „Włócznie” — i groty opadały w szczeliny między tarczami jak zęby w paszczy. „Krok” — i cała ściana ruszała razem, lewą nogą naprzód, żeby się nie rozerwać. Z początku brzmiało to jak stado spłoszonych kóz; po wielu księżycach — jak jedno zwierzę o stu nogach, które rusza, staje i zwiera się na jeden głos. I tego dnia, w którym stu ludzi po raz pierwszy zrobiło „zewrzyj” bez spóźnienia ani jednej tarczy, Jozue nie pochwalił ich ani słowem — tylko spojrzał na Kaleba, a Kaleb na niego, i obaj wiedzieli, że pod ich rękami z prochu zaczyna wstawać coś, co ma już własny, jeden oddech.

A na końcu było to, czego nienawidzili najbardziej: wparcie. Włócznie tępym końcem w piasek, ostrze pochylone ku piersiom biegnącego, kolano ugięte, całe ciało za drzewcem jak podpora pod dach. Kiedy rozpędzony człowiek nadziewa się na tak wpartą

włócznie, to nie włócznie go zabija — zabija go własny bieg. Ale trzeba stać. Trzeba stać, kiedy on biegnie prosto na ciebie, i nie odskoczyć, i nie unieść ostrza za wysoko, i wytrzymać uderzenie, które idzie przez drzewce w barki, w kręgosłup, w zęby. Tego uczyli się najdłużej, bo to jest wbrew wszystkiemu, co w człowieku każe mu żyć.

Pot lał się po nich strumieniami. Manna nie tuczy — daje siłę na dzień, nie tłuszczy na zapas — więc byli chudzi i twardzi jak wysuszone rzemienie. W upale pierwszy padał zwykle około południa; wynosili go w cień, polewali wodą ze skały i stawiał się nazajutrz, bo wstyd był gorszy od omdlenia. Jeden zwymiotował mannę wprost pod nogi Kaleba i czekał na drąg, a Kaleb tylko skinął głową: — Dobrze. Znaczy, że dałeś z siebie wszystko. Jutro dasz więcej. — I to było gorsze od drąga.

Mijały księżyce. Skóra na dłoniach, która pękała, zrogowaciała. Barki, które drżały pod tarczą, zgrubiały. Chłopcy, którzy pasali kozy, zaczęli chodzić inaczej — ciężiej, pewniej, z tym rozstawieniem stóp, po którym starzy żołnierze poznają się w tłumie bez słowa.

— Nie uczę was wygrywać — mówił im Jozue, kiedy siadali wieczorem w kręgu z suchymi gardłami. — Wygra Bóg albo nikt. Uczę was nie uciekać, zanim Bóg zdąży wygrać. To wszystko, co człowiek wnosi do bitwy: że stoi jeszcze jedną chwilę dłużej, niż mu się chce. Jedną chwilę. Reszta należy do nieba.

Ojcowie, którzy się wzdrygają

Byli w obozie dwaj ludzie na jedno miejsce: syn, który się uczył zabijać, i ojciec, który patrzył. I to ojcowie byli w tym trudniejsi.

Pelet z Rubena przychodził co wieczór na skraj klepiska, gdzie ćwiczył jego syn On, i siadał, i patrzył, i milczał. Był niewolnikiem w Egipcie czterdzieści lat i miał to w ciele: kiedy Kaleb strzelał drągiem w powietrzu dla postrachu, Pelet kulił się, choć nie w niego mierzono. Świst nad głową znaczył dla niego jedno, i tego jednego nie dało się wypłukać z pleców, które nosiły ślad bata dłużej, niż będą je nosiły kości.

On tego nie miał. On urodził się pod obłokiem, pił wodę ze skały Miriam, jadł mannę i nie widział nigdy nadzorczy z rzemieniem. Kiedy stawał w ścianie tarcz, stał prosto, bo nikt nigdy nie nauczył jego grzbietu, żeby się garbił.

— Prosto stoisz — powiedział mu raz ojciec, kiedy szli wieczorem między namiotami. Powiedział to tak, jakby to było oskarżenie i jakby to była duma, i sam nie wiedział, które z dwojga.

— A jak mam stać? — zapytał On.

Pelet długo nie odpowiadał.

— Ja bym nie umiał tak stać przed nikim — powiedział wreszcie.

— Całe życie stałem pochylony. Myślałem, że to się przekazuje synom, jak kolor oczu. A ty stoisz prosto i nawet nie wiesz, że to jest cud.

On nie zrozumiał wtedy ojca.

Jak patrzą na proroka

Dla synów Mojżesz nie był człowiekiem. Był tym, co stoi między obozem a górą, między ludem a ogniem — postacią, którą widuje się z daleka, kiedy wchodzi do Namiotu i słup staje w wejściu. Ich ojcowie pamiętali go innym: młodszym, gniewnym, tym, który zabił nadzorcę i uciekł, tym, który przyszedł z łaską i obietnicą i wyprowadził ich w noc pełną krwi na odrzwiach. Synowie pamiętali tylko starca, przed którym rozstępowała się cisza.

Wieczorami, przy ogniskach, gadali o tym, jak młodzi gadają o wszystkim — za głośno i zbyt pewnie.

— Po co ta musztra — mówił jeden, z Dana, oblizując palce z manny — skoro Bóg i tak walczy za nas? Pod morzem nie musztrował nas nikt. Wystarczyło stać i patrzeć.

— Pod morzem nie musiałeś wchodzić na mury Chormy — odpowiadał mu Otniel. — A twoi krewni weszli. I wiesz, co ich spotkało.

— Bo weszli bez Arki. Bez słowa.

— Więc słowo jest potrzebne. I miecz też. Bóg dał jedno i drugie. Głupi bierze tylko to, co mu wygodne.

Był i taki, który mówił ciszej, i to jego słowa zostawały w głowach na dłużej:

— Bóg skazał naszych ojców — mówił chłopak z Symeona, patrząc w ogień. — Wszystkich, od dwudziestego roku. Skąd wiecie, że nas nie skaże? Po co się kuć na miecz, który Bóg i tak może złamać, kiedy zechce?

Na to nikt nie miał gładkiej odpowiedzi. Otniel powtórzył tylko to, co słyszał od Kaleba, choć sam nie był pewien, czy w to wierzy:

— Skazał tych, którzy nie chcieli wejść. Nas skaże, jeśli nie zechcemy. Więc chcemy.

Mojżesz przechodził tamtędy w ciemności i słyszał to — słyszał więcej, niż myśleli. Nic nie powiedział chłopcom. Ale nocą powiedział Kalebowi:

— Pytaj, po co miecz, skoro walczy Bóg.

— A ty co byś im rzekł? — mruknął Kaleb.

— Że Bóg daje zwycięstwo — powiedział Mojżesz. — Ale daje je ostrzom, które umieją ciąć. Nie widziałem jeszcze, żeby rozstąpił morze przed człowiekiem, który nie chciał podnieść nogi.

Synowie proroka

Dla obozu Mojżesz był prorokiem. Dla dwóch ludzi w tym obozie był ojcem, którego prawie nie znali — a to oni mieli go najtrudniej, bo ojca widuje się z daleka gorzej niż obcego. Gerszom i Eliezer przychodzili wieczorem do ognia matki, jak przychodzili zawsze, bo przy ogniu Sefory świat był jeszcze zwyczajny.

— Widzieliśmy go dziś znowu tylko z daleka — powiedział Gerszom, starszy, ten, w którym gorycz zbierała się powoli, jak woda w cysternie. — Wchodził do Namiotu. Słup stanął w wejściu. Cały obóz patrzył. A ja pomyślałem: tam idzie mój ojciec, i nie mogę nawet do niego podejść, bo właśnie przestał być mój.

Sefora mełła coś w dłoniach, nie podnosząc głowy.

— Ja go znałam, zanim był prorokiem — powiedziała. — Wy nie. I to jest cała różnica między wami a mną. Wy urodziliście się już prorokowi. Ja poślubiłam człowieka. Chudego zbiega, który przyszedł nad studnię ojca z krwią na rękach i nie umiał powiedzieć, kim jest. Nie miał wtedy słupa w wejściu. Miał strach i puste dłonie, i jadł moją soczewicę tak, jakby pierwszy raz od lat ktoś dał mu jeść, nie kazać nic w zamian. — Uniosła głowę. — Tego człowieka wy nie poznaliście. Jego zabrał wam krzak, który płonął i nie spłonął. Nie gniewajcie się na proroka, że nie jest ojcem. Gniewajcie się, jeśli już musicie, na głos z krzaka, który wam go wziął. Tylko że na ten głos gniewać się nie warto, bo i tak wygra.

Eliezer, młodszy, ten, który pytał o rzeczy, o które nie pyta się głośno, patrzył w ogień.

— Matko — powiedział. — Ty jesteś z Midianu. Twój ojciec służył innym bogom, zanim poznał naszego. Powiedz mi prawdę, bo tobie uwierzę prędzej niż kapłanom: czy ty naprawdę wierzysz w Boga ojca? W tego, który rozstąpił morze? Czy tylko poszłaś za mężem?

Sefora długo nie odpowiadała.

— Hebrajczycy boją się Boga — powiedziała w końcu. — Widzieli Go w gromie na górze i w słupie ognia, i to słuszne, że się boją. Ja Go spotkałam inaczej. Ja Go spotkałam w waszym ojcu — w tym, że człowiek, który przyszedł nad moją studnię złamany i pusty, wstał pewnego dnia i poszedł z powrotem w miejsce, z którego uciekł, prosto na faraona, choć się trząsł. Nikt nie wraca sam do domu, z

którego uciekł ze strachem. Jego ktoś zawrócił. I to „ktoś” było dla mnie dowodem mocniejszym niż morze, bo morze widziałam już rozstąpione, a serce człowieka złamanego widziałam, jak się odwraca i idzie pod prąd własnego strachu. Tak, synu. Wierzę. Ale wierzę po midiańsku: trzeźwo, z boku, bez gromu. Bóg, którego poznałam, nie krzyczał. Zmienił mi męża. To mi wystarczy.

— A co z nami? — rzucił Gerszom, i to było pytanie, do którego zmierzał od początku. — Powiedz to głośno, matko, skoro mówimy prawdę przy ogniu. Jozue poprowadzi wojsko — nie my. Kapłaństwo ma dom Aarona — Eleazar nosi napierśnik, nie ja, nie Eliezer. Lewici dostaną miasta. Juda dostanie berło. A my? Synowie tego, który wyprowadził wszystkich? Nie dostaniemy nic. Ani plemienia, ani urzędu, ani działu. Prorok ma dwóch synów, o których nie będzie żadnej pieśni. Czy on w ogóle o tym myśli?

— Myśli — powiedziała Sefora, i w jej głosie nie było ani pociechy, ani kłamstwa. — Myśli i cierpi, bardziej, niż pokazuje. Ale posłuchaj mnie, Gerszomie, bo powiem ci rzecz, której ojciec wam nie powie, bo nie umie mówić o sobie. Człowiek, którego Bóg bierze całego, nie ma już czego zostawić synom — bo wszystko, co miał, oddał ludowi. Wasz ojciec nie zostawi wam plemienia, bo stał się ojcem całego narodu i nie starczyło go na własny dom. To jest cena, i płacicie ją wy, nie on, i to jest najniesprawiedliwsze w prorokach: że rachunek za nich regulują ich dzieci. — Dotknęła ręki starszego syna. — Ale jedno wam zostanie, czego nie ma Jozue ani Eleazar, ani żaden naczelnik: że byliście jego. Że jadł przy tym ogniu. Że nosił was na barkach, zanim

nosił naród. Pieśni o was nie będzie. Ale wy będziecie wiedzieli, czego nie będzie wiedział nikt z tych, co śpiewają: jak pachniał wasz ojciec, kiedy wracał z góry. To niewiele. Ale to jest tylko wasze, i tego wam żaden dział ziemi nie da.

Siedzieli jeszcze długo przy ogniu, trzech ludzie, których świat miał zapamiętać tylko jako „żonę i synów Mojżesza” — bez imion, w cieniu jednego imienia. Eliezer pierwszy wstał spać. Gerszom został dłużej, patrząc w żar, i Sefora wiedziała, że gorycz w nim nie minęła — minie dopiero wtedy, albo i wtedy nie, gdy sam zostanie ojcem i zrozumie, ile kosztuje dać dziecku wszystko, a ile dać mu siebie, i że to nie zawsze jest to samo.

Gorycz Rubena

Ruben był pierworodny. To jedno zdanie nosili Rubenici jak kamień w bucie przez całą pustynię: pierworodny — a idzie na południe, za plecami Judy. Bo pierworództwo Ruben stracił dawno, jeszcze u łoża Jakuba, „chwiejny jak woda”, i berło przeszło do Judy, kapłaństwo do Lewiego, podwójny dział do Józefa, a Rubenowi zostało samo słowo: pierwszy — i nic, co by za tym słowem szło. Nie wydali proroka. Nie wydali sędziego. Nie mieli wydać króla. Wiedzieli o tym, i to ich uwierało bardziej niż głód.

Datan mówił to głośno. Chodził między namiotami południa i pytał, niby lekko, niby żartem, a każde pytanie było ostrzem, które zostawiał w cudzej głowie, żeby dojrzewało tam samo:

— Czemu na czele idzie Juda? Bo tak rzekł Mojżesz. A kto postawił Mojżesza? Lewita. I brat jego lewita nosi napierśnik. Wszystko zostaje w jednym domu. My, pierworodni, mamy iść z tyłu i cieszyć się piaskiem, który zostawia nam ich sandały. — Rozglądał się i dodawał ciszej: — A przecież pierworództwo to nie łaska Mojżesza. To krew. Naszej krwi nikt nam nie odbierze rozkazem.

Elicur, naczelnik Rubena, nie zaprzeczał Datanowi. To było gorsze, niż gdyby przytakiwał. Stał z podniesioną głową i milczał, a milczenie wodza jest dla ludu jak przyzwolenie wypisane na chorągwi.

Doszło do tego na klepisku, w skwarze, kiedy hufiec Judy i hufiec Rubena ćwiczyły obok siebie natarcie na tę samą wyznaczoną linię. Kurz stał w powietrzu do wysokości piersi. Ktoś z Rubena — nigdy nie wiadomo który, zawsze nie wiadomo który — rzucił, że Juda pcha się na przód nawet w musztrze, jak wszędzie. Ktoś z Judy odrzucił, że Ruben niech się cieszy, że w ogóle go dopuszczono do linii. Padło trzecie słowo, o łożu Jakuba, o wodzie, która nie umie ustać w miejscu — i to słowo było jak iskra w suchą trawę.

Rubenita odwrócił się i pchnął tępym końcem drąga w twarz tego z Judy. Trzasnął nos, chlusnęła krew, jasna w słońcu. I w tej samej chwili obie linie — dwie ściany chłopców uczonych całymi księżycami, żeby na ścianę naprzeciwko biec — ruszyły na siebie, i po raz pierwszy nikt nie musiał ich do tego zmuszać drągiem.

Zderzyły się z hukiem drewna o wiklinę. Nie była to już musztra. Drągi szły w dół na głowy, nie na tarcze; łokcie, kolana, zęby; ktoś padł i deptano po nim; kurz wzbił się tak, że słońce zrobiło się rude.

Krzyk był inny niż na ćwiczeniach — niższy, gardłowy, ten, który wychodzi z człowieka, kiedy przestaje udawać. Otniel dostał drzewcem w skroń i świat przechylił mu się na bok, ale utrzymał się na nogach i oddał, i poczuł, jak jego drąg trafia w coś miękkiego, i przez jeden ohydny oddech było mu z tym dobrze.

On, syn Peleta, stał w środku tej kotłowaniny i nie bił. Widział twarze, które znał — chłopców, z którymi dzielił mannę — wykrzywione tak, że ich nie poznawał. Widział swojego dziesiętnika, jak dławi Judejczyka rzemieniem od procy. Krew jego krwi biła się tu o słowo „pierwszy”, a jemu to słowo nagle zbrzydło w ustach. Cofnął się — nie ze strachu, po raz pierwszy nie ze strachu — i ten pół kroku w tył był inny niż tamten pod Amalekiem, i On jeszcze nie umiał nazwać, czym.

Wtedy błysnął brąz. Ktoś — Rubenita, młody, z rozciętą wargą — wyszarpnął zza pasa khopesz, prawdziwy, ten z morza, i uniósł go nad głowę Judejczyka leżącego w kurzu. Ostrze poszło w dół.

Nie doszło. Jozue wszedł w tłum jak wchodzi się w rzekę pod prąd — sam, bez tarczy, bez broni. Chwycił rękę z khopeszem w locie, w nadgarstku, i skręcił tak, że brąz wypadł w piasek, a chłopak wrzasnął i osunął się na kolana. Drugą ręką Jozue odrzucił od siebie dwóch, którzy nań napierali, nie wiedząc jeszcze, kto to; odrzucił ich tak, że polecili plecami w swoich. Za nim szedł Kaleb i szedł ze swoim drągiem, i drąg Kaleba spadał na barki i karki bez wyboru, po równo na Judę i na Rubena, aż zrobiło się wokół nich koło pustej ziemi, które rośło.

— DOŚĆ! — Głos Jozuego przeszedł nad klepiskiem ponad krzykiem, ponad hukiem drewna, i był to głos, którego słuchali pod Amalekiem, kiedy Amalek był prawdziwy. Ucichli nie dlatego, że chcieli. Ucichli, bo ciało pamiętało ten głos jako głos, po którym się żyje albo ginie.

Stał między nimi w kurzu, który powoli opadał, i patrzył po twarzach — rozbitych, zakrwawionych, nagle młodych, nagle przerażonych tym, co przed chwilą robiły. U jego stóp leżał khopesz z morza. Podniósł go, zważył w dłoni i uniósł tak, żeby wszyscy widzieli.

— To ostrze — powiedział — wyjął Bóg z ręki Egipcjanina, który się w nim utopił, i dał je wam. Wam, nie im. Żebyście weszli do ziemi, której wasi ojcowie się zlekli. — Odwrócił się wolno, żeby dosięgnąć wzrokiem obu ścian. — A wy podnosicie je na brata, o miejsce w szyku. O to, kto pierwszy postawi stopę na piasku, którego jeszcze nie zdobyliście. — Rzucił khopesz w kurz między nich. — Kananejczyk usłyszy o tym, zanim zajdzie słońce, i będzie się śmiał. Da wam wszystkim, i Judzie, i Rubenowi, bić się do woli. Tylko już nie ze sobą.

Kazał wypisać imiona tych, którzy dobyli ostrza, i odesłać ich na siedem dni do namiotów, do kobiet i starców, i powiedzieć wszystkim, dlaczego. Judejczyk z rozbitym nosem i Rubenita z rozciętą wargą stali obok siebie ze spuszczoneymi głowami, i był to jedyny raz tego dnia, kiedy stali obok siebie i nie chcieli się zabić.

Rozeszli się. Rana została. Rana po takim dniu nie zamyka się od słów — zabliznia się na wierzchu, a pod spodem ropieje. Datan tego

wieczoru nie mówił nic. Nie musiał. Uśmiechał się tylko, bo dostał dokładnie to, po co chodził między namiotami: dowód, że Juda i Ruben sięgną po siebie, jeśli tylko ktoś rzuci właściwe słowo we właściwej chwili. Zapamiętał, które to słowo.

On, syn Peleta, nie spał. Leżał i patrzył w słup nad obozem i pierwszy raz pomyślał o Datanie nie „nasz” — pomyślał „ten człowiek nas zgubi”. Ale była to dopiero myśl, a Datan miał już plan.

Jozue przyszedł do Mojżesza z twarzą ciemniejszą niż po Chormie.

— Wróg za wzgórzem mnie nie martwi — powiedział. — Wróg za wzgórzem stanie naprzeciw i będę wiedział, gdzie jest, i pójdę na niego całą ścianą. Dziś omal nie zabili się sami, o miejsce w szyku. Gdyby Kananejczyk uderzył w tej chwili, wyróżnąłby nas naszymi własnymi mieczami, a my podalibyśmy mu je z wdzięcznością. Ruben pęka. A pod Rubenem mówi się już nie o musztrze, tylko o tym, kto ma prawo prowadzić lud.

Mojżesz zamknął oczy.

— Znam ten głos — powiedział. — Słyszałem go u podnóża góry, kiedy schodziłem z tablicami. Zawsze mówi to samo: „czemu ty, a nie ja”. I zawsze przychodzi z tej strony, gdzie ktoś nosi urazę dłużej, niż nosi wiarę. — Otworzył oczy, i były w nich zmęczenie i coś, co u proroka jest gorsze od zmęczenia: przecucie. — Wojsko można wykuć z synów niewolników, Jozue. Ale nie z ludzi, którzy w bracie widzą rywala prędzej niż wroga w Amalekicie. Pilnuj Datana. I pilnuj młodego On, syna Peleta. Ojciec jest złamany, ale uczciwy. Syn dziś się

nie bił — widziałem. Stoi prosto i jeszcze nie wie, w którą stronę. Za takich się walczy.

Pierwsza krew

Amalekita przyszedł, jak przychodzi zawsze — nie na czoło, lecz na ogon. Uderzył o świcie na stada pasące się na wschodnim skraju, tam gdzie warty trzymał świeży hufiec, jeszcze nie wojsko, dopiero jego zapowiedź. Zabił pasterzy, zanim ktokolwiek zdążył dąć w róg, i pognał wielbłądy w pustynię.

Jozue nie zdążyłby z głównymi siłami. Zdążył Kaleb z tym, co miał pod ręką — setką chłopców, którzy trzy księżyce temu nie umieli stać w szeregu. Dopadli Amalekitę przy suchym korycie, gdzie łup spowolnił mu ucieczkę.

To nie była bitwa. To była nauka, pisana krwią zamiast na piasku. Otniel wpadł pierwszy, za wcześniej, i omal nie zginął — Amalekita ciał go w tarczę tak, że drzazgi poszły w twarz — ale za Otnielem szła ściana, ta sama ściana, którą Jozue wbijał im w ciało dzień po dniu, i ściana nie pękła. Proce zaświstały. Kamień z rzemienia nie wie, z czyjej wyszedł ręki. Trzej Amalekici padli, zanim dobiegli.

On, syn Peleta, stał na skrzydle. Widział, jak jego dziesiętnik idzie pod topór, i przez jeden oddech — ten oddech, o którym mówił Jozue, ten jeden za długi — jego stopy chciały tego, czego chciały stopy jego ojca przez czterdzieści lat: cofnąć się. Cofnął się o pół kroku. I stanął. Wparł włócznię w piasek, jak go uczono, i przyjął na

nią rozpędzonego wroga całym ciężarem, tak że zabolalo w barkach do kości, tak samo jak Otniela pierwszego dnia na klepisku. Amalekita osunął się na drzewce.

Odbili wielbłądy. Stracili siedmiu. Kaleb kazał wypisać siedem imion na skórze i nie kazał pisać, że nie zginął żaden — bo tak się pisze zwycięstwa, ale on tak pisać nie chciał.

— Nie są gotowi — powiedział wieczorem Jozuemu. — Otniel wpadł jak cielak. On się cofnął. Połowa krzyczała, zamiast oddychać. — Umilkł, wycierając khopesz z krwi. — Ale ściana nie pękła. Rok temu pękłaby. To jest coś, Jozue. To jeszcze nie wojsko. Ale to już nie kozy.

Kuźnia w nocy

Nocą siedzieli we trzech przy jednym ogniu — Mojżesz, Jozue, Kaleb. Trzej ludzie, którym Bóg powierzył pokolenie z prochu, i tylko jeden z nich był stary, choć wszyscy trzej byli zmęczeni.

— Ilu masz gotowych? — zapytał Mojżesz.

— Setkę, która pójdzie i nie ucieknie — powiedział Jozue. — Za rok tysiąc. Za dziesięć lat — wojsko. — Popatrzył w ogień. — Ale ja tego wojska nie prowadzę pierwszy. Ty je prowadzisz.

Mojżesz nie odpowiedział od razu. Patrzył w płomień, w którym kowale hartowali za dnia groty, i widział coś, czego tamci dwaj nie widzieli — widział ziemię z drugiego brzegu i wiedział już, choć

jeszcze nie powiedział tego głośno nikomu, że nie będzie mu dane postawić na niej nogi. Ale to była wiedza na inną noc.

— Kuźnia — powiedział wreszcie, jakby do siebie. — Egipt był piecem, w którym nas wytopiono z rudy. A to jest kuźnia, w której nas kują. Ruda nie wybiera, czy chce być ostrzem. My — musimy chcieć.

Kaleb dorzucił do ognia i iskry poszły w górę, ku słupowi, który stał nad obozem czerwony od żaru i biały od Boga.

— Za tymi wzgórzami — powiedział — czeka Arad. Za Aradem Sichon. Za Sichonem olbrzym z Baszanu, o którym mówią, że sypia w łożu z żelaza. A za nimi wszystkimi siedzi nad Wielką Rzeką człowiek, który nie weźmie do ręki miecza, a jest groźniejszy od nich razem wziętych, bo wie, że Izraela nie pokona się mieczem. — Kaleb splunął w ogień. — Więc kujmy ostrza. I módlmy się, żeby serca dały się wykuć razem z nimi.

Ognisko dopalało się powoli. Gdzieś na południu, w namiotach Rubena, nie spał Datan. A młody On, syn niewolnika, leżał na wznak i po raz pierwszy w życiu bał się nie bata, którego nie znał, lecz własnego pół kroku w tył, który zapamiętał na zawsze.



ROZDZIAŁ II — Pokolenie pustyni

Zwykły dzień w obozie — świat, który ma przejąć Jozue

Świt

Obóz budził się tak, jak budzi się od czterdziestu lat: od zapachu, nie od światła. Najpierw szedł dym — pierwsze ogniska rozpalane po ciemku przez kobiety, które wstają przed wszystkimi — a dopiero potem, za dymem, przychodziło szare światło od wschodu, od gór Moabu, i kładło się na morzu namiotów aż po horyzont.

Dzieci były pierwsze na nogach, jak zawsze. Biegały między sznurami namiotów, przewracając się o kolki, ganiane przez matki i nieganione przez nikogo, kto miał coś ważniejszego do roboty. Chłopiec gonił psa, który ukradł mu placek; pies był szybszy. Przy studni na skraju obozu zebrała się już kolejka z bukłakami, i jak co rano zaczynała się tam pierwsza kłótnia dnia — dwie kobiety i jeden

mężczyzna, i spór o to, kto był wcześniej, spór stary jak studnie, który nie kończy się nigdy i nie o to w nim chodzi, żeby się skończył.

Kobiety siadały do żaren. Ten dźwięk — kamień o kamień, setki kamieni naraz w całym obozie — był prawdziwym głosem Izraela, głośniejszym niż trąby, bo trąby grały rzadko, a żarna co rano. Mężczyzna przed namiotem naprawiał uprząż, przewlekając rzemień przez pękniętą sprzączkę; robił to powoli, bo nie było dokąd się spieszyć, dopóki obłok stał. Gdzieś dalej bił młot — kował rozpalil już palenisko i kuł, i był to inny dźwięk niż przed rokiem: bo przed rokiem kuł grotę, a teraz, w przerwach między grotami, kuł sierpy i noże, i okucia do jarzma. Brąz wyjęty z morza, z utopionego Egiptu, stawał się po trochu narzędziem rolnika, zanim jeszcze lud zobaczył pole.

Starczy wyszli przed namioty i usiedli w słońcu, które dopiero zaczynało grzać. Nie robili nic — doszli już do wieku, w którym siedzenie jest zajęciem — i patrzyli na obóz wzrokiem ludzi, którzy pamiętają więcej, niż widzą. Psy obeszły stada i położyły się na skraju, pyskami na zewnątrz. Przy jednym z namiotów dwie matki ustalały zaręczyny swoich dzieci — chłopca i dziewczynki, którzy bawili się w piachu kilka kroków dalej, nieświadomi, że właśnie postanawia się o ich życiu. Wesela planowano między jedną wojną a drugą; tak szło życie, obojętne na to, kto je prowadzi i kto właśnie odchodzi. Z pustyni wracał myśliwy z gazelą przewieszoną przez kark, i dzieci pobięły za nim, bo gazela to było mięso, a mięso to było święto.

Pod jednym z namiotów siedział stary Zabdi, jeden z niewielu, którzy pamiętali jeszcze cegłę bez słomy, a u jego kolan kucał mały chłopiec i słuchał. Starzec opowiadał — jak opowiadał co rano, bo starcom zostają już tylko opowieści — o rzece szerokiej jak dziesięć wadi, o wodzie, która zmieniała się w krew, o nocy, w której przeszedł Niszczyciel i w każdym egipskim domu ktoś zapłakał. Chłopiec słuchał z otwartymi ustami, tak jak słucha się o smokach i olbrzymach. Dla niego rzeka szeroka jak dziesięć wadi była cudem nie większym ani nie mniejszym niż olbrzym, o którym też mówiono przy ogniu. Egipt, krew, Niszczyciel — wszystko to było dla niego jedną krainą baśni, równie prawdziwą i równie nieprawdziwą jak każda inna. Zabdi widział to w jego oczach i nie prostował; po co? Przyjdzie czas, gdy chłopiec zrozumie, że to nie baśń — ale ten czas należał już nie do Zabdiego. Starzec opowiadał więc dalej, a dziecko słuchało, i tak przechodziła z rąk do rąk jedyna rzecz, którą naprawdę dziedziczy naród: nie ziemia i nie krew, lecz pamięć — coraz bardziej podobna do pieśni.

Był to dzień jak każdy inny. A z takich poranków — dymu, żaren, kłótni o wodę i gazeli na karku, nie z bitew — składa się naród, który bitwę przeżyje.

Dlaczego podnosisz miecz

Przez ten obóz szedł Jozue.

Nie szedł jak wódz. Wódz idzie środkiem i patrzy przed siebie; Jozue szedł skrajem i patrzył na boki — na to, jak żyją ci, których miał kiedyś poprowadzić do ziemi, a potem przez nią. Zatrzymywał się. Przy studni rozsądził spór o kolejność, krótko, tak że obie strony odeszły jednakowo niezadowolone, co u sędziego jest znakiem, że rozsądził dobrze. Przy kuźni obejrzał nowy grot i odłożył go bez słowa, bo był dobry. Szedł przez obóz nie jak ktoś, kto nim rządzi, lecz jak ktoś, kto próbuje się nauczyć rzeczy trudniejszej od wojny: jak nauczyć tysiące ludzi żyć po Mojżeszcu.

Na klepisku po wschodniej stronie ćwiczyli młodzi. Jozue stanął i patrzył chwilę, a potem podszedł do chłopaka, który najmocniej machał mieczem — wysokiego, szybkiego, pewnego siebie, z tych, co uczą się prędko i dlatego uczą się źle.

— Dlaczego podnosisz miecz? — zapytał Jozue.

Chłopak opuścił ostrze, zdziwiony prostotą pytania.

— Żeby zabić wroga — powiedział, jakby odpowiadał, ile jest dwa i dwa.

— Źle.

Chłopak zamrugał. Nie rozumiał. Przez całe krótkie życie uczono go, że miecz służy do zabijania, i oto stary wódz, który zabił więcej ludzi niż ktokolwiek na tym klepisku, mówi mu, że się myli.

— Miecz podnosisz po to — powiedział Jozue — żeby ochronić człowieka, który stoi obok ciebie. Zabicie wroga to tylko sposób. Celem jest tamten, po twojej lewej. Jeśli podnosisz miecz, żeby zabić, zginiesz pierwszego dnia, bo pobiegнеш za wrogiem i odsłonisz

brata. Jeśli podnosisz go, żeby osłonić brata, przeżyjecie obaj — i to jest cała różnica między rzezią a wojskiem. — Spojrzał po twarzach, które go słuchały. — Amalek nie pokonał waszych ojców dlatego, że był silniejszy. Pokonał ich dlatego, że każdy walczył o siebie. Ściana, w której każdy walczy o sąsiada, nie pęka. Ściana, w której każdy walczy o siebie, to nie ściana. To tłum, który jeszcze tego nie wie.

Chłopak milczał, przetrawiając to. A Jozue, patrząc na niego, zobaczył coś, co widział u nich wszystkich i co wciąż go zdumiewało.

— Twój ojciec walczył pod Ramzesem? — zapytał.

— Mój ojciec był niewolnikiem — odpowiedział chłopak.

— A ty?

— Ja urodziłem się wolny.

Powiedział to bez dumy i bez namysłu — jako fakt, tak jak mówi się, że się urodziło pod namiotem, a nie w domu. I to właśnie było w nich najdziwniejsze, i najważniejsze. Dla ojca tego chłopca słowo „wolny” było czymś, co zdobył jedną straszną nocą, z krwią na odrzwiach i z krzykiem Egiptu za plecami. Dla syna „wolny” było po prostu tym, kim był od urodzenia — jak się jest wysokim albo leworęcznym. Egipt nie był dla niego ani koszmarem, ani cudem. Egipt był opowieścią, którą dziadowie powtarzali przy ogniu, coraz bardziej podobną do legendy, coraz mniej do bólu. Ci chłopcy nie pamiętali jarzma, więc go nie nienawidzili; nie widzieli morza, więc nie drżeli na jego wspomnienie. Znali tylko pustynię, mannę i obłok — i wojnę, która miała dopiero przyjść. To było pokolenie Jozuego: nie synowie niewolników już, lecz pierwsi synowie wolnych. I Jozue

wiedział, że z nimi wejdzie tam, gdzie ich ojcowie weszli tylko wzrokiem — i że będzie ich musiał nauczyć czegoś, czego Mojżesz nie uczył nikogo, bo nie było komu: jak być wolnym, nie pamiętając niewoli.

Człowiek z Efraima

Po drugiej stronie klepiska ćwiczyła osobno garść młodych z Rubena. Ćwiczyli — ale po swojemu. Kiedy Jozue kazał całej grupie zewrzeć tarcze w jeden rząd, oni zwarli swoje osobno, kilka kroków dalej, tak że niby wykonali rozkaz, a jednak nie weszli w ścianę z resztą.

Jozue widział to i nie powiedział nic od razu. Podszedł, poprawił komuś chwyt, pokazał, jak wesprzeć ramię o plecy stojącego z przodu — rzeczy proste, te same dla wszystkich. A kiedy odwrócił się, żeby odejść, usłyszał za plecami głos jednego z Rubenitów, niby ściszony, lecz ściszony akurat tak, żeby doszedł:

— Dlaczego mamy słuchać człowieka z Efraima?

Powiedział to Chanoch, najstarszy z nich, barczysty, z twarzą, która już w młodości układała się w wyraz urażonej dumy. Nie powiedział tego do Jozuego. Powiedział to w powietrze, do swoich — a to gorzej, bo na słowo rzucone w twarz można odpowiedzieć, a na słowo rzucone w plecy nie bardzo.

Jozue zatrzymał się na pół kroku. Przez chwilę — jedną — kusiło go, żeby się odwrócić i pokazać temu chłopakowi, czym różni się człowiek z Efraima, który stał pod Refidim, od człowieka z Rubena,

który nie stał jeszcze nigdzie. Ale nie odwrócił się. Nauczył się czegoś przez czterdzieści lat chodzenia za Mojżeszem: że są słowa, które rosną, gdy się na nie odpowie, i kurczą, gdy się je zostawi. Poszedł dalej, jakby nie usłyszał. Ale usłyszał. I zapamiętał nie chłopaka — chłopak był tylko ustami — lecz to, czyimi ustami był. Bo Chanoch nie wymyślił tego zdania sam. Usłyszał je w swoim namiocie, od ojców, a ojcowie od swoich. „Człowiek z Efraima” — to nie była obelga jednego zuchwalca. To było zdanie całego pokolenia Rubena, podane dalej jak dziedzictwo, którego nikt nie chciał się wyrzec.

Jozue wracał przez obóz wolniej, niż szedł. Codziennosc — żarna, dym, dzieci — płynęła wokół niego jak rzeka wokół kamienia, i nikt prócz niego nie widział, że pod tą codziennością właśnie pękła pierwsza, cienka rysa.

A przecież nie cały Ruben był Chanochem. Kilka kroków od tamtych, w głównym szeregu, wśród chłopców z Judy i Symeona, stał młody Rubenita i uczył się wpierać ramię w plecy sąsiada — cicho, uważnie, bez pytania, z czyjego jest plemienia ten, kogo ma osłaniać. Nazywał się On, syn Peleta. Jozue znał to imię, bo znał je całe starsze pokolenie: dziad tego chłopcaomal nie zginął z Korachem, a ocalał tylko dlatego, że żona wyciągnęła go w nocy z namiotu buntu, zanim ziemia się otworzyła. Wnuk zdawał się nosić w sobie pamięć tamtej nocy, choć się wtedy jeszcze nie urodził — jakby wiedział od urodzenia, czym kończy się duma Rubena, gdy ustawia się osobno. Stał więc nie osobno, lecz w rzędzie, i gdy Chanoch rzucał swoje

„człowiek z Efraima”, On nie podchwycił. Spuścił tylko oczy, jak ktoś, kto słyszy we własnym domu słowo, którego się wstydzi.

Jozue zapamiętał i to. Bo zrozumiał rzecz, którą musi pojąć każdy, kto prowadzi ludzi: że plemię nigdy nie jest jedną bryłą. Że w każdym Rubenie siedzi i Chanoch, i On — i stary, dziedziczony żal, i młody, cichy wstyd za ten żal. I że wodza poznaje się nie po tym, czy złamie Chanocha, lecz po tym, czy zdąży oprzeć się na Onie, zanim Chanoch pociągnie za sobą resztę. Nie powiedział do żadnego z nich ani słowa. Ale wieczorem, dobierając dziesiętników do musztry, postawił nad grupą Rubenitów nie Efraimitę i nie siebie — postawił Ona, syna Peleta. Niech rozkaz do Rubena idzie przez usta Rubena. To nie było ustępstwo. To była pierwsza lekcja, jaką Jozue dał sam sobie z nauki, której Mojżesz nie zdążył mu przekazać: że czasem najprościej prowadzi się ludzi nie wbrew ich dumie, lecz przez nią.

Kaleb stał nieopodal i patrzył na to wszystko — na Chanocha, na Ona, na chłopców wpierających ramiona w cudze plecy. Był, obok Jozuego, jedynym człowiekiem w obozie, który widział ziemię za Jordanem na własne oczy, czterdzieści lat temu, jako jeden z dwunastu zwiadowców; i jedynym prócz Jozuego, który jej wtedy uwierzył. Podszedł, stanął obok i przez chwilę milczał milczeniem starego żołnierza, który patrzy na młodych i widzi w nich i siebie, i wszystko, czym sam już nie jest.

— Lepszy od nas — powiedział w końcu. — Nie mocniejsi. Lepszy. My przyszliśmy pod tę ziemię raz i uciekliśmy od niej jak od ognia, bo pamiętaliśmy, że jesteśmy niewolnikami, a niewolnik widzi wszędzie

pana większego od siebie. Spojrzeliśmy na mury i na wysokich ludzi, i zobaczyliśmy panów. Tych dziesięciu, co ze mną wracali, nie skłamało o tym, co widzieli — skłamało o tym, kim sami byli. Ci chłopcy nie pamiętają żadnego pana. Popatrzą na mur i zobaczą mur, nie boga. To większa różnica, Jozue, niż liczba mieczy.

— Albo zobaczą mur i wejdą na niego lekkomyślnie — powiedział Jozue — bo nie znają strachu, który czasem ratuje.

— Albo tak — przyznał Kaleb bez sprzeciwu. — I dlatego będę cię potrzebować. Ich ojców trzeba było zmuszać, żeby szli; tych trzeba będzie czasem zatrzymać. A trudniej jest zatrzymać wolnego niż pognać niewolnika — niewolnik słucha bata, wolny słucha tylko tego, komu ufa. Będziesz miał nad nimi władzę dokładnie taką, na jaką sobie u nich zasłużysz, i ani odrobinę większą. — Splunął w piach, po swojemu, i uśmiechnął się tym rzadkim, twardym uśmiechem starca, który doczekał czegoś, na co czekał długo. — Ale ciesz się, Jozue. Czekałem na to pokolenie czterdzieści lat. Pokolenie, które trzeba hamować, a nie poganiać. Nie myślałem, że dożyję, aż Izrael znów będzie miał w sobie więcej odwagi niż strachu. Ty go poprowadzisz. Ja tylko chciałem je zobaczyć, zanim odejdę — i oto patrzę.

Nie jestem już twoim uczniem

Mojżesz oglądał trening z daleka, siedząc na kamieniu w cieniu, skąd widział wszystko, a sam był ledwie widoczny — tak jak lubił patrzeć na rzeczy, których już nie prowadził.

Widział, jak Jozue ustawia ścianę, i widział błąd, zanim Jozue go zobaczył: lewe skrzydło wyciągnęło się za daleko, oderwało od środka, i gdyby to była bitwa, a nie klepisko, wróg wszedłby w tę szczelinę i zwinął szyk od boku. Jozue dostrzegł to chwilę później i poprawił — ale chwilę później, a na wojnie chwila to szpara, a szpara to trupy.

Wieczorem Mojżesz powiedział mu o tym. Nie z góry, nie jak nauczyciel — po prostu wspomniał, że lewe skrzydło odpłynęło. Jozue, zmęczony całym dniem uczenia innych, zjeżył się jak człowiek, którego poprawia się raz za dużo.

— Widziałem — powiedział krótko. — Poprawilem.

— Za późno o jeden oddech.

— Nie jestem już twoim uczniem, Mojżeszu. — Powiedział to ostrzej, niż chciał, i od razu tego pożałował, ale nie cofnął.

Mojżesz nie obraził się. Spojrzał tylko na niego tym swoim długim spojrzeniem, w którym nie było gniewu, lecz coś, czego Jozue nie umiał wtedy nazwać.

— Właśnie dlatego muszę cię poprawiać — powiedział Mojżesz. — Gdybyś był jeszcze moim uczniem, miałbym czas. Uczeń ma lata, żeby się nauczyć, bo nauczyciel stoi za nim i łapie go, gdy spada. Ty nie jesteś już uczniem — jesteś następcą. A następcę poprawia się inaczej: szybko, po skąpemu, każdego dnia, który został, bo nie wiadomo, ile ich jeszcze. — Umilkł. — Nie poprawiam cię, bo jesteś gorszy ode mnie. Poprawiam cię, bo niedługo nie będzie już komu. Każda rzecz, której cię dziś nie nauczę, będzie rzeczą, której nauczysz cię

potem wojna — a wojna uczy drogo, i płaci się za jej lekcje nie swoją krwią, lecz cudzą.

Jozue nie odpowiedział. Patrzył w ogień i rozumiał — nie uszami, bo uszy słyszały tylko naukę o skrzydle — lecz tą częścią człowieka, która wie więcej, niż chce: że starzec obok niego mówi o czymś innym niż lewe skrzydło. Że liczy dni. I że to liczenie dotyczy ich obu, choć tylko jeden z nich wejdzie za rzekę.

Gdy Jozue odszedł, Mojżesz został sam z laską w ręce. Obracał ją w palcach — gładką od lat dotykania, akacjową, tę samą, którą rzucił przed faraonem i stała się wężem, która rozdzieliła morze, która wyprowadziła wodę ze skały. Pomyślał o tym, co zostawia następcom. Kapłaństwo zostawiał Eleazarowi, w szatach ojca. Dowództwo — Jozuemu. Ale laski nie zostawiał nikomu, i dopiero teraz to do niego dotarło. Bo laska nigdy nie była laską: była jego ręką, jego wiarą, Bogiem działającym przez kawałek drewna. Nie dało się jej przekazać, bo nie w drewnie mieszkala moc. Jozue poprowadzi lud bez niej — i tak będzie lepiej, żeby lud nie przywykł, że cuda mieszkają w kiju. Ale znaczyło to jedno, czego Mojżesz dotąd nie dopuszczał do siebie: że gdy on odejdzie, laska nie pójdzie dalej. Skończy się razem z nim. Rzeczy, które dało się oddać, oddawał już od dawna; została mu ta jedna, której oddać się nie da — i pierwszy raz pomyślał, że z nią rozstanie się inaczej. Nie przekaże jej. Po prostu ją zostawi.

Przy żarnach

Sefora i Miriam mełły ziarno w cieniu namiotu, jak co dzień — bo codzienność nie pyta o to, kto jest siostrą proroka, a kto jego żoną; codzienność pyta, czy jest mąka na wieczór.

— Juda znowu dostał więcej manny niż Dan — powiedziała Miriam, nie podnosząc głowy. — I znowu będą o to szemrać, jakby manna nie spadała na wszystkich tyle samo.

— Bo nie o mannę idzie — odrzekła Sefora. — Idzie o to, że Juda stoi bliżej Namiotu. Człowiek zawsze policzy, ile dostał sąsiad, zanim zje swoje.

Mełły chwilę w milczeniu. Z klepiska dobiegał szczeł drewna o drewno.

— Posłuchaj ich — powiedziała Miriam. — Od rana nic, tylko to stukanie. Za moich czasów chłopcy w tym wieku pilnowali kóz i uczyli się, gdzie jest woda. Ci uczą się, gdzie wbić nóż, żeby zabolalo. — Pokręciła głową. — Robią się z nich wojownicy, Seforo. Nie pasterze. Nie wiem, czy to dobrze.

— To ani dobrze, ani źle — powiedziała Sefora. — To konieczne. Pasterz nie przejdzie przez kraj, w którym każde miasto ma mur. — Przesypała mąkę do misy. — Ale masz rację co do jednego. Pachną inaczej. Pasterz pachnie owcą i dymem. Ci pachną brązem i potem. Mój Gerszom jeszcze pachnie owcą. Jego synowie już nie.

— A ten Jozue — powiedziała Miriam po chwili, przesypując mąkę. — Chodzi po obozie od rana do nocy, jakby bał się usiąść. Widziałas?

— Widziałam. Chodzi tak jak człowiek, który wie, że wkrótce wszystko spadnie na niego, i próbuje się nauczyć ciężaru, zanim go podniesie.

— Dobry chłopak — mruknęła Miriam. — Twardy, ale dobry. Tylko się nie śmieje. Mojżesz przynajmniej dawniej się śmiał. Ten nie pamięta, że można.

— Jego spotka to samo co każdego, kto idzie przodem — powiedziała Sefora. — Samotność. Tyle że on jeszcze tego nie wie, a Mojżesz już wie. To cała różnica między nimi: dwadzieścia lat samotności, których ten chłopak jeszcze nie przeżył.

Znów umilkły. A potem Miriam powiedziała to, do czego zmierzała od początku, bo stare kobiety przy żarnach zawsze zmierzają do czegoś, nawet gdy mówią o mannie.

— Widziałś, jaki jest ostatnio?

Nie musiała mówić, o kim. Przy tych żarnach było tylko jedno „on”.

— Widziałam — powiedziała Sefora cicho.

— Ja go znam od kosza w sitowiu — powiedziała Miriam. — Osiemdziesiąt lat. I pierwszy raz widzę, że siada, zanim ktoś go o coś poprosi. Dawniej stał, dopóki nie padł. Teraz siada sam, w cieniu, i patrzy na obóz, jakby go liczył. On zawsze wszystko liczył. Ale dawniej liczył, ilu ich jest. Teraz, mam wrażenie, liczy, ilu z nich jeszcze pamięta.

Sefora nie odpowiedziała od razu. Ona widziała go inaczej niż Miriam — bo Miriam widziała brata, którego pilnowała w sitowiu, a

Sefora widziała męża, którego poznała, zanim stał się kimkolwiek.

— Ty widzisz, że się starzeje — powiedziała w końcu. — Ja widzę coś gorszego. Widzę, że się żegna. Po cichu, z każdym z nas po kolei, tak żebyśmy nie zauważyli. Wczoraj powiedział mi „dziękuję” za miskę soczewicy. Za miskę soczewicy, Miriam. Po czterdziestu latach. Człowiek nie dziękuje za soczewicę, jeśli nie myśli, że je ją któryś z ostatnich razy.

Miriam zatrzymała kamień. Przez chwilę obie stare kobiety siedziały nieruchomo przy żarnach, w cieniu, wśród dźwięku całego obozu, który mełł, kłócił się i żył dalej, nie wiedząc, że dwie wdowy-po-swojemu rozmawiają właśnie o tym, że kończy się epoka — i że one dwie są jej resztą.

— No — powiedziała w końcu Miriam, i znów ruszyła kamieniem, bo mąka sama się nie zmiele. — To przynajmniej zdąż mu zrobić tę soczewicę jeszcze parę razy.

I była to najczulsza rzecz, jaką powiedziała tego dnia, choć mówiła o soczewicy.

Pierworodny nie zawsze jest pierwszy

Wieczorem Jozue przyszedł do Mojżesza i powiedział mu o Rubenie. Nie o samym Chanochu — chłopak był niczym — lecz o tym, co za nim stało: że młodzi z Rubena ćwiczą osobno, ustawiają tarcze osobno, i że padło zdanie „człowiek z Efraima”.

— Oni mnie nie przyjmą — powiedział Jozue. — Nie dlatego, że jestem zły. Dlatego, że jestem z Efraima, a Efraim to syn Józefa, a Ruben... — urwał.

— A Ruben był pierworodnym — dokończył Mojżesz. — I nigdy o tym nie zapomniał. Pierworodny syn Jakuba. Przez prawo pierwszeństwa jego powinna być podwójna część, jego przewodzenie, jego berło. A dostał co? Utratę pierworództwa za grzech przy łożu ojca, i błogosławieństwo, które zabrzmiało jak wyrok: „niestały jak woda, nie będziesz miał pierwszeństwa”. Pierwszeństwo przeszło na synów Józefa — na Efraima. Ruben nosi tę ranę od Jakuba, i poda ją synom, a synowie swoim. Dlatego gdy stawiasz nad nimi Efraimite, nie stawiasz wodza. Rozdrapujesz im najstarszą bliznę rodu.

Jozue słuchał. Nie był człowiekiem plemiennych rachub — był żołnierzem — i te stare urazy wydawały mu się dziecinne obok rzeczy, które go czekały.

— A powinien? — zapytał. — Powinien nosić tę urazę?

Mojżesz zastanowił się, bo pytanie było lepsze, niż Jozue sam wiedział.

— Nie — powiedział. — I zarazem nie potępiaj go, że nosi. Ruben nie musi zapominać, że był pierworodnym. To prawda i prawdy się nie każe zapominać. Powinien tylko pamiętać rzecz drugą, trudniejszą: że pierworodny nie zawsze jest pierwszy. Że urodzić się pierwszym to łaska, a być pierwszym to zadanie — i że zadania nie dziedziczy się po ojcu, lecz zdobywa co dzień od nowa. Józef był młodszy, a wyżywił braci. Juda był czwarty, a poręczył za Beniamina

własnym życiem. Ty jesteś z Efraima, a stałeś pod Refidim, gdy Ruben jeszcze się nie urodził pod obłokiem. Pierwszeństwo, Jozue, nie leży w łonie, z którego się wyszło. Leży w tym, kto staje, kiedy trzeba stanąć. — Popatrzył na niego. — Powiedz to Rubenowi nie słowami. Słowom nie uwierzą. Powiedz to tak, że gdy przyjdzie dzień ściany tarcz, Efraimita osłoni Rubenitę własnym ciałem, zanim tamten zdąży pomyśleć, czyj jesteś. Wtedy przestaną pytać, z jakiego jesteś plemienia. Krew, którą ktoś za ciebie przelał, zmywa pytanie o ród szybciej niż każda mowa.

Narada

Wieczorem Jozue zwołał naczelników tysięcy do dużego namiotu na skraju obozu. Nie dlatego, że coś groziło tej nocy — groźby nie było — lecz dlatego, że nauczył się od Mojżesza rzeczy, której nie uczy się na wojnie: że naradę zwołuje się, gdy jest spokój. Kto zbiera dowódców dopiero wtedy, gdy wróg stoi pod obozem, naradza się już za późno.

Mojżesz przyszedł, ale usiadł z boku, pod ścianą namiotu, w cieniu, i przez pierwszą godzinę nie odezwał się ani razu. To też było nowe. Dawniej narady prowadził on. Dziś przyszedł patrzeć, jak prowadzi je ktoś inny — i zadawać sobie w duchu to jedno pytanie, które zadawał już od roku, ilekroć patrzył na Jozuego: czy jest gotowy.

Jozue rozłożył na udeptanym piasku to, co miał zamiast mapy: kamienie na miasta, patyk na rzekę, garść suszonych fig na obce

wojska. Mówił krótko, bez ozdób, jak człowiek, który myśli rękami.

— Oto gdzie jesteście. — Postukał w piasek. — Na południe Edom, który nie przepuścił nas przez swoją ziemię. Nie będziemy się o nią bić; obejdziemy. Na wschód i północ — królestwa Amorytów, przez które musi iść droga, bo innej nie ma. A za Jordanem — tam. — Położył dłoń płasko na pustym piasku, jakby przykrywał coś, czego jeszcze nie widział. — Kanaan. Miasta za murami wyższymi niż trzy namioty postawione jeden na drugim. To jest wojna, na którą idziemy. Reszta to droga do niej.

Eliasaf z Gadu, barczysty, ostrożny głosem ludzi, którzy liczą straty, zanim je poniosą, pochylił się nad piaskiem.

— Mury — powiedział. — Nasi ojcowie doszli raz pod te mury i zawrócili. Widzieli je i serce im padło. A nasi ojcowie byli twardsi od tych chłopców, którzy dziś śmieją się przy ogniskach, bo raz wygrali z Aradem na otwartej równinie. Jedna wygrana w polu to nie to samo co miasto, które się nie poddaje przez pół roku. Boję się nie wroga. Boję się, że pierwszy wysoki mur złamie w nich to, co Arad w nich zbudował.

— A ja się boję czegoś odwrotnego — odezwał się Kaleb, i wszyscy się odwrócili, bo gdy Kaleb mówił o murach, mówił jako jeden z dwóch ludzi w tym namiocie, którzy widzieli je na własne oczy. — Widziałem te mury czterdzieści lat temu, Eliasafie. Są wysokie, to prawda. Stałem pod nimi i zadzierałem głowę jak ty teraz. Ale powiem ci, czego się wtedy nauczyłem: nasi ojcowie nie przegrali z murami. Przegrali z własnymi oczami. Dziesięciu, którzy ze mną wracali, nie

skłamało o wysokości murów — skłamało o nas samych. Powiedzieli: „byliśmy w swoich oczach jak szarańcza”. I to ich zabiło. Nie mur. Zdanie. — Spojrzał na Jozuego. — To pokolenie nie mówi o sobie „szarańcza”. I w tym cała różnica, i jest większa niż każdy mur.

— Albo — powiedział cicho Eliasaf — mówi o sobie „lew”, a to zabija równie pewnie, tylko wolniej.

Zapadła cisza, bo obaj mieli rację, i wszyscy to wiedzieli, i patrzyli teraz na Jozuego, bo rację dwóch ludzi rozsądza się nie argumentem, lecz decyzją.

Jozue milczał dłużej, niż milczałby Mojżesz. Mojżesz z boku zauważył to i zapisał sobie w pamięci — nie jako wadę, lecz jako cechę: że ten człowiek nie wypełnia ciszy słowami, dopóki nie wie, jakie mają być. Dawniej go to drażniło; teraz, patrząc, rozumiał, że to jest właśnie to, czego wódz wojny potrzebuje bardziej niż wymowy.

— Obaj macie rację — powiedział wreszcie Jozue — i dlatego żaden z was nie poprowadzi tej wojny sam, tylko obaj naraz, bo będę was trzymał za dwa końce tej samej liny. Eliasaf będzie liczył straty, zanim je poniesiemy, a Kaleb będzie szedł pierwszy pod mur, żeby reszta widziała, że da się. Jedno bez drugiego przegrywa. — Przesunął palcem po piasku, od figi do figi. — Ale posłuchajcie, czego ja się boję, bo to nie jest ani mur, ani szarańcza, ani lew. — Podniósł głowę. — Boję się tego namiotu po drugiej stronie klepiska, gdzie Ruben ćwiczy osobno. Mur w Jerychu pęknie, gdy w niego uderzymy dość mocno. Ale ściana, która rośnie między Rubenem a Efraimem, nie pęka od uderzenia — ona się od uderzenia zaciska. Mogę wziąć każde miasto

Kanaanu, jeśli dwanaście pokoleń uderzy jak jedna pięść. I nie wezmę ani jednego, jeśli choć jedno pokolenie w chwili natarcia będzie patrzyło, czy sąsiad nie dostał lepszego łupu. Wróg zewnętrzny mnie nie złamie. Złamie mnie nasz własny podział, i to jest jedyna wojna, której nie umiem wygrać rozkazem.

Na to nikt nie odpowiedział od razu, bo każdy z naczelników w głębi duszy wiedział, do którego ogniska należy, zanim należy do Izraela. I wtedy odezwał się Mojżesz — pierwszy raz tego wieczoru, z cienia, nie wstając.

— Masz rację, Jozue, i powiem ci więcej, niż sam powiedziałeś. — Wszyscy odwrócili się ku ścianie namiotu. — Żadnego wroga zewnętrznego Bóg nie dał Izraelowi, który by go naprawdę zniszczył. Egipt nas nie zniszczył. Amalek nie. Nie zniszczy nas i Kanaan. Izraela zawsze niszczył tylko Izrael — raz strachem, raz pychą, raz tym, że brat liczył bratu łyżki. Dlatego nie martw się najbardziej o to, jak zdobędziesz miasto. Martw się o to, jak utrzymasz dwanaście pokoleń jednym ludem w nocy po zdobyciu, gdy leży łup, a łup dzieli szybciej niż miecz. To twoja prawdziwa wojna. Tamta, pod murami, jest łatwiejsza.

Jozue patrzył na starca w cieniu i nie odpowiedział, bo poczuł, że właśnie dostał cały ciężar w jednym zdaniu, i że starzec oddaje mu go świadomie, kawałek po kawałku, co wieczór. Narada trwała jeszcze długo — o kolumnach, o porze roku, o wodzie na szlaku, o tym, ilu ludzi zostawić przy stadach — i Jozue rozstrzygał każdą z tych rzeczy po kolei, szybko i rzeczowo, a Mojżesz z boku liczył już nie figi na

piasku, lecz coś innego: ile razy tego wieczoru chciał wtrącić własne zdanie i ile razy nie musiał, bo Jozue dochodził do niego sam, a czasem do lepszego.

Kiedy naczelnicy wyszli w noc, zostali we trzech: Jozue, Kaleb i Mojżesz. Dopiero wtedy Jozue usiadł ciężko, jak siada człowiek, który przez godzinę trzymał twarz, i twarz ta zeszła z niego jak zdjęta maska.

— Przy nich jestem pewny — powiedział cicho, patrząc w rozsypany na piasku rysunek. — Muszę być. Ale ty wiesz, Kaleb, i ty wiesz, Mojżeszu, że połowy z tego, co dziś postanowiłem, nie jestem pewny wcale. Powiedziałem „weźmiemy Jerycho”, a nie wiem jak. Powiedziałem „utrzymam dwanaście pokoleń”, a w nocy leżę i słyszę, jak Ruben ostrzy język na Efraima, i nie wiem jak.

— Dobrze — powiedział Kaleb. — Dzień, w którym będziesz pewny wszystkiego, będzie dniem, w którym zaczniesz przegrywać. Pamiętasz tamtych dziesięciu? Oni byli pewni. Wrócili i powiedzieli z całą pewnością: „nie damy rady”. My dwaj byliśmy jedynymi, którzy powiedzieli: „nie wiemy, ale Bóg wie, więc idźmy”. — Położył dłoń na kolanie Jozuego, ciężką dłoń starego żołnierza. — Zostaliśmy tylko my dwaj z całego tamtego spisu, ty i ja. Dwaj ludzie na dwa miliony, którzy stali pod tym samym murem i nie nazwali siebie szarańczą. Gdy jego — wskazał brodą Mojżesza — zabraknie, zostaniesz ty i ja, i całe pokolenie, które nigdy w życiu nie przegrało. I to mnie martwi bardziej niż ciebie, Jozue, bo ja wiem, czego oni nie wiedzą: ile kosztuje przegrać. Twoim zadaniem nie będzie nauczyć ich zwyciężać. To już umieją. Twoim zadaniem będzie nie dać im zapomnieć, że

można nie zwyciężyć — zanim nauczy ich tego dopiero pierwszy przegrany dzień.

Mojżesz słuchał tego i milczał, bo Kaleb mówił lepiej, niż on by to powiedział, i była to ulga, jakiej dawno nie zaznał: usłyszeć, że ktoś inny zdejmuje część ciężaru z barków, które już niedługo będą puste. Odezwał się tylko raz, na koniec, gdy wstawał, opierając się o laskę.

— Jozue. Przy nich masz być pewny, a przy nas możesz nie być — to dobra granica i trzymaj się jej do końca życia. Tylko jednego pilnuj: żeby ta pewność, którą im pokazujesz, była dla nich, a nie dla ciebie. Wódz, który udaje pewność, żeby dodać ludziom serca, prowadzi. Wódz, który w końcu sam uwierzy we własne udawanie, ginie — i zabiera ich ze sobą. Dziś jeszcze odróżniasz jedno od drugiego. Pilnuj tej granicy nawet wtedy, gdy mnie już nie będzie, żeby ci ją przypomnieć.

Wyszli w noc osobno, każdy w swoją stronę. A Mojżesz, wracając do siebie, pomyślał rzecz, której nie powiedział żadnemu z nich: że jest już gotowy. Nie Jozue — on sam. Że mógł już odejść spokojny, bo zobaczył tego wieczoru, jak człowiek inny od niego niesie ciężar inaczej niż on, a jednak go niesie; i że Bóg, dając ludowi na pustynię proroka, a na wojnę żołnierza, nie pomylił się ani razu.

Góra, ołtarz i pieśń

Tego wieczoru zeszli się we troje — Mojżesz, Aaron, Miriam — co zdarzało się już rzadko, bo każde z nich pożerał własny obowiązek, a

wszyscy troje byli starzy. Miriam przyniosła garść daktyli i rozłożyła je na płask między nimi, jak kiedyś, w Egipcie, gdy byli jeszcze tylko rodzeństwem, a nie prorokiem, kapłanem i prorokinią. Przez chwilę jedli w milczeniu, troje starych ludzi, którzy pamiętali się nawzajem jako dzieci.

— Przychodzi do mnie ktoś — powiedział w końcu Mojżesz, i powiedział to tylko dlatego, że byli to oni, bo nikomu innemu by tego nie rzekł. — Nocą, kiedy obóz śpi. Nie we śnie — na jawie. Nie wiem, czy to anioł, czy coś, co udaje anioła. Mówi cicho i rozsądnie. Mówi: dość już nosiłeś. Połóż to. Są góry, z których nie trzeba schodzić. Jest odpoczynek. — Obracał daktyl w palcach, nie jedząc go. — I najgorsze jest to, że on nie kłamie. Naprawdę jestem zmęczony. Naprawdę są góry, z których nie wraca się do obozu. To kuszenie, które mówi prawdę i tą prawdą cię prowadzi tam, gdzie chce.

Aaron i Miriam spojrzeli po sobie, bo oboje znali to coś, choć żadne nie nazywało go tak jak drugie.

— Pytasz, jak z nim walczyć — powiedziała Miriam. — A ja ci powiem, bracie, że ja z moim przegrałam. — Zebrała okrusz z koca. — Pamiętasz, co powiedziałam przeciw tobie? „Czy tylko przez Mojżesza przemawiał Pan? Czy i przez nas nie przemawiał?” Myślałam, że mówię o sprawiedliwości. Mówiłam z zazdrości. Bóg słyszał jedno i drugie, i tydzień chodziłam biała jak śnieg, poza obozem, i patrzyłam na własne ręce gnijące, i uczyłam się rzeczy, której żadna pieśń mnie nie nauczyła: że prorok, który zaczyna mierzyć, ile Boga dostał w porównaniu z bratem, już przestał słuchać

Boga, a zaczął słuchać siebie. — Spojrzała na Mojżesza. — Twój głos nocą robi to samo, tylko z drugiej strony. Mnie kusił, żeby chcieć więcej. Ciebie kusi, żeby chcieć mniej. Ten sam głos. Zawsze namawia, żeby przestać być tym, kim cię Bóg uczynił.

— A ja — odezwał się Aaron, i głos miał cięższy, bo Aaron nosił swoje kuszenie dłużej niż oni oboje — ja mu uległem w biały dzień, na oczach całego ludu. Ty byłeś na górze, bracie, i widziałeś to, czego nie widzi żaden człowiek. A ja stałem na dole, czterdzieści dni, i lud napierał, i krzyczał, że go porzuciłeś, i bał się, i ja... ja im dałem cielca. — Umilkł; po tylu latach to słowo wciąż go parzyło. — Mój głos nie szeptał mi nocą. Mój głos krzyczał dwoma milionami gardel za dnia: „zrób coś, daj nam coś, czego można dotknąć”. I zrobiłem. Najgorsze kuszenie kapłana nie jest takie, żeby odejść od Boga. Jest takie, żeby dać ludowi boga wygodniejszego od prawdziwego, bo lud o to prosi, a kapłan tak bardzo chce dać ludowi to, o co prosi.

Siedzieli chwilę w ciszy, troje starych ludzi i troje starych win, z których jedna — Mojżesza — jeszcze się nie dokonała.

— Jak to było na górze? — zapytała cicho Miriam. — Nigdy nam nie powiedziałeś. Czterdzieści lat nie powiedziałeś.

Mojżesz długo milczał.

— Bo nie ma słów, które by tam sięgały — powiedział wreszcie. — Prosiłem Go: pokaż mi Twoją chwałę. A On rzekł, że żaden człowiek nie może ujrzeć Jego twarzy i żyć. Więc schował mnie w rozpadlinie skały, zasłonił dłonią, i przeszedł — a mnie dał zobaczyć tylko to, co zostaje po Nim, kiedy już przeszedł. Plecy, nie twarz. Ślad, nie Jego

samego. — Spojrzał w ciemność. — I to mnie złamało na zawsze, bo zrozumiałem, że nawet ja, któremu dano najwięcej, dostałem tylko ślad. Część mnie została tam, w tej rozpadlinie, i nigdy nie zeszła z góry. Dlatego jestem, jaki jestem. Nie wróciłem cały. Nikt, kto tam był, nie wraca cały.

— Ja Go spotykam inaczej — powiedział Aaron. — Nie na szczycie. W Namiocie. W dymie kadzidła, za zasłoną, gdzie wolno wejść raz w roku i gdzie za każdym razem nie wiem, czy wyjdę. — Dotknął napierśnika, którego już prawie nie nosił. — Ty widziałeś Jego ślad, bracie, i wróciłeś niecały. Ja widziałem Jego ogień — i wyszło mi naprzeciw, i strawiło dwóch moich synów na miejscu, Nadaba i Abihu, bo przynieśli obcy ogień. Patrzyłem, jak płoną, i nie wolno mi było nawet zapłakać, bo byłem w służbie. — Głos mu nie zadrżał, bo wypłakał to dawno. — Ty poznałeś Boga jako górę, na którą wszedłeś. Ja poznałem Go jako ołtarz, który zabrał mi dzieci. I oba poznanie są prawdziwe, i oba są straszne, i żadne z nich nie jest cieplejsze od drugiego.

— A ja — powiedziała Miriam — nie wchodziłam na żadną górę ani za żadną zasłonę. Mnie Bóg mówił we śnie i w pieśni. Nad morzem, kiedy wzięłam bęben i kobiety wyszły za mną, i śpiewaliśmy — to nie była radość z wygranej. To był Bóg, który przez jedno popołudnie dał mi usłyszeć, jak brzmi świat, kiedy sprawiedliwość wreszcie się staje. Słyszałam to raz, całe, i potem przez czterdzieści lat słyszałam już tylko echo. — Uśmiechnęła się, staro i łagodnie. — Wy obaj spotkaliście Boga wielkiego i groźnego. Ja spotkałam Boga, który

śpiewa. Może dlatego to mnie, nie wam, dał studnię, która idzie za ludem — bo woda i pieśń to to samo: coś, co płynie, poi i nie pyta, czy na to zasłużyłeś.

Ogień przygasał. Mojżesz patrzył na brata i siostrę — na kapłana, któremu ołtarz zabrał synów, i na prorokinię, która nauczyła się pokory przez własne gnijące ręce — i pierwszy raz od dawna nie czuł się sam ze swoim nocnym głosem.

— Więc co mam robić — zapytał — kiedy znów przyjdzie i powie: połóż to?

— To samo, co robisz, odkąd pamiętam — powiedziała Miriam, wstając z trudem, bo kolana miała już stare. — Nie połóż tego. Jeszcze nie. Położysz, kiedy On powie, a nie kiedy powie tamten. Różnica między jednym głosem a drugim jest cała w jednym: Bóg nigdy nie każe ci przestać za wcześnie. Zawsze tylko tamten się spieszy.

Rozeszli się w noc, każde do swojego namiotu i do swojego sposobu umierania, który już się zaczynał — ona pierwsza, on drugi, Mojżesz ostatni — ale tego wieczoru jeszcze o tym nie wiedzieli, albo udawali, że nie wiedzą, bo troje starych ludzi, które zjadło razem garść daktyli, ma prawo udawać przez jeden wieczór, że noc jeszcze nie nadchodzi.

Ogniska

Nocą Mojżesz wyszedł przed namiot, jak wychodził coraz częściej, bo sen uciekał od niego tak, jak uciekają wszystkie rzeczy, których się już

nie ma w nadmiarze.

Obóz spał, a jednak nie był ciemny. Od krańca po kraniec, aż tam, gdzie namioty zlewały się z nocą, paliły się ogniska — tysiące, dziesiątki tysięcy, jak gwiazdy, które spadły i rozłożyły się na równinie. Mojżesz stał i patrzył na nie, i robił to, co robił zawsze: liczył. Ale tej nocy nie liczył ognisk. Liczył twarze, które za nimi siedziały.

Kiedyś — pamiętał to tak dokładnie, jakby to było wczoraj, choć było całe życie temu — przy tych ogniskach siedzieli ludzie, którzy wyszli z Egiptu. Znał ich. Znał człowieka, który pierwszy wszedł w rozstąpione morze, bo reszta bała się mokrego dna. Znał kobietę, która urodziła w noc paschy i nazwała syna imieniem znaczącym „pośpiech”. Znał starców, którzy pamiętali jeszcze ucisk, cegłę bez słomy, bicz nadzorcy. Przy tych ogniskach siedziała kiedyś cała jego młodość i cała jego wina, i cały jego lud — ten, który wyprowadził.

Teraz patrzył i nie poznawał prawie nikogo.

Jedno ognisko — bliżej, u stóp wzgórza — znał jeszcze. Siedział przy nim stary Nahszon, zgarbiony, z rękami, które pamiętały i wiosło, i cegłę; jeden z ostatnich, którzy weszli w morze pierwszego dnia. Ale wokół niego, w tym samym kręgu światła, siedziało sześciu czy siedmiu młodych, których Mojżesz nie znał z imienia — synowie i wnukowie, słuchający starca jednym uchem, a drugim już gdzie indziej: przy dziewczynie z sąsiedniego namiotu, przy jutrzejszej musztrze. Starzec mówił, młodzi kiwali głowami i myśleli o swoim. I to jedno ognisko było całym Izraelem tej nocy: jeden człowiek, który

pamięta, i siedmiu, którzy go kochają, ale już nie pamiętają razem z nim.

Przy ogniskach siedzieli młodzi — ci, co pachną brązem, nie owcą. Dzieci tych, których znał, i dzieci ich dzieci. Pokolenie, dla którego Egipt był opowieścią dziadów, morze pieśnią, a on sam — starym człowiekiem z laską, którego widuje się z daleka i o którym mówi się ciszej, gdy przechodzi. Ci ludzie nie wyszli z Egiptu. Ci ludzie urodzili się tu, pod obłokiem, w drodze — i ziemia, do której szli, nie będzie dla nich końcem tułaczki, jak dla ojców, lecz po prostu domem, jedynym, jaki znają z opowieści.

I wtedy dotarło do niego, bez gromu i bez głosu z góry, po prostu, jak dociera rzecz oczywista, której się długo nie dopuszczają: że jego dzieło naprawdę się kończy. Nie dlatego, że umrze — każdy umiera. Dlatego, że lud, który wyprowadził, już prawie odszedł przed nim, jedno ognisko po drugim, i został po nim inny lud, noszący to samo imię. Wyprowadził z Egiptu pokolenie, które właśnie gaśnie. Do ziemi wejdzie pokolenie, którego nie wyprowadził znikąd — które po prostu zastał już wolnym.

Stał długo w tej myśli, nie smutnej i nie gorzkiej, tylko ostatecznej. Gdzieś w obozie zaszczekał pies i umilkł. Dziecko zapłakało i ucichło, bo matka wzięła je do siebie. Dwa miliony ludzi oddychały przez sen jednym wielkim, wolnym oddechem — tym samym, którego Egipt chciał im odebrać i nie zdołał. Mojżesz słuchał tego oddechu i pomyślał, że to wystarczy. Że można oddać lud, który przestał być twój, jeśli tylko oddaje się go żywym i wolnym, i w dobre ręce. A

potem, gdy chłód nocy wszedł mu w kości, wrócił do namiotu — stary pasterz, który doprowadził stado prawie pod samą bramę i wiedział już, że sam przez nią nie przejdzie, lecz przestał się tego bać, bo brama była blisko, a stado całe.